

K U U U U

U U U R R

R R R W A

LINN STRØMSBORG

K U * W A

K * R W A

K U R * A

PRZEKŁAD KAROLINA DROZDOWSKA

K U U U U

U R  R R

R R R W A

Linn Strømsborg

Kurwa, kurwa, kurwa

Przełożyła
Karolina Drozdowska

ArtRage
Warszawa 2023

Karolina Drozdowska

Tłumaczka literacka i literaturoznawczyni. Przekładem z języka norweskiego zajmuje się od 2008 roku. Ma na koncie ponad dziewięćdziesiąt opublikowanych przekładów, tłumaczyła m.in. Larsa Myttinga (*Płyn z tonącymi*, Smak Słowa, 2016), Ninę Lykke (*Nie, po prostu nie*, Muza, 2018; *Ostatnie stadium*, Pauza, 2020), Helgę Flatland (*Współczesna rodzina*, Wydawnictwo Poznańskie, 2019), Johana Harstada (*Gdzie się podziałeś, Buzzie Aldrinie?*, Smak Słowa, 2019), Marie Aubert (*Dorośli*, Pauza, 2020) czy Klarę Hveberg (Marpress, 2021). Członkini Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury (od września 2020 jest sekretarzynią zarządu centralnego Stowarzyszenia) oraz Bałtyckiego Stowarzyszenia Tłumaczy. Laureatka norweskiej nagrody dla tłumaczy literackich Oversetterprisen za rok 2021. W 2014 roku obroniła rozprawę doktorską o teatrze epickim Jensa Bjørneboe, rok później została zatrudniona w Instytucie Skandynawistyki i Fennistyki UG. Jej zainteresowania naukowe obejmują m.in. najnowszą prozę norweską oraz teorię i praktykę przekładu. Uwielbia dydaktykę i swoich studentów. Mieszka w Gdyni.

Stoję w ogrodzie przed domkiem letniskowym, zwrócona plecami do drzwi. Właśnie wszystkich strasznie ochrzaniłam. Mojego męża Espena. Moją córkę Elise. Naszych przyjaciół Tronda i Anitę oraz ich dzieci Runę i Garda. A także właścicielkę domu, Nico, przyjaciółkę Espena, Tronda i Anity. Wrzeszczałam, złorzeczyłam, zupełnie straciwszy nad sobą panowanie we wczesne lipcowe przedpołudnie, jest duszno, nad moją głową grzmi, a zaraz potem zaczyna padać ciężki, leniwy deszcz; moknę, ale idę w kierunku brzegu morza, nie oglądając się za siebie. Mam na sobie ubrania, które włożyłam do snu i w których wstałam z łóżka zaledwie pół godziny temu: obszerny T-shirt, który zaraz zaczyna mi się lepić do ciała, dżinsowe szorty. I kardigan, który zarzuciłam na ramiona, zanim wyszłam z sypialni, by przynieść sobie kubek kawy. Jestem boso. Nie zdążyłam przynieść sobie kubka kawy.

Idę przed siebie, wychodzę przez furtkę, ruszam ścieżką nad morze, pozwalam furtce głośno trzasnąć i nie oglądam się, by sprawdzić, czy ktoś za mną poszedł.

Szybkim, zdecydowanym krokiem docieram na brzeg i brnę dalej po mokrym piasku, wchodzę do ciepłej wody, posuwam się do przodu, aż sięga mi do pasa, a potem się odwracam i padam na plecy z rozłożonymi rękoma.

Unoszę się na powierzchni z zamkniętymi oczami, a ciepłe krople deszczu uderzają we mnie i w morze, moje ciało kołysze się na wodzie, deszczówka mnie obmywa, tworzy też wąskie strumyki spływające ze ścieżki na plażę, próbuje porwać ze sobą całe lato, ponieść je jak najdalej od tego miejsca, po którym łążą letnicy, pijąc wino w środku dnia, jedząc lody i rzucając papierki do

przepełnionych śmietników, tak że niektóre z nich odlatują z wiatrem.

Gdy tak sobie leżę na wodzie i dryfuję, myślę tylko o jednym.

Nie żałuję.

Wszystkich ochrzaniłam, nikogo nie oszczędzając.

Powinnam była to zrobić dziesięć lat temu.

NAJPIERW

Najpierw jesteśmy dziećmi. Komórkami, które się dzielą, później płodem, a później się rodzimy, rośniemy, starzejemy się. Słuchamy rodziców, bierzemy odpowiedzialność, jesteśmy grzeczni, siedzimy cicho, nie bijemy się. Jesteśmy dziećmi w sukienkach, z kokardami we włosach, księżniczkami i księżętami na balach karnawałowych, bawimy się kosmetykami mamy i butami taty. Jesteśmy dziećmi i uczymy się różnych rzeczy, uczymy się bycia ludźmi, uczymy się żyć z innymi i z samymi sobą. Ja nauczyłam się być dziewczynką. Być dziewczynką oznaczało być ostrożną. Płakać, ale nie ryczeć, być ładną i chudą, śpiewać wysokim głosem i grzecznie się zachowywać. Być dziewczynką znaczyło urosnąć i pójść do szkoły, pisać równo i schludnie, udzielać prawidłowych odpowiedzi na wszystkich klasówkach, być grzeczną panienką, mimo że nikt już nie używa słowa „panienka”. Być dziewczynką oznaczało dostać okres i siedzieć u szkolnej pielęgniarki, ucząc się o tamponach i podpaskach, o jajowodach i macicy, o tym, skąd się wzięliśmy i kim się staniemy. Być dziewczynką oznaczało być nazywaną dziwką, bycie dziewczynką to piersi i tyłek, które miały być duże, oraz talia, która miała być tak wąska, by dawało się ją objąć dłońmi, uda nie powinny się o siebie ocierać i trzeba było mieć dobry apetyt, ale nigdy nie tyć. Być dziewczynką oznaczało używać mnóstwa kosmetyków, ale wyglądać naturalnie, malować się tak, żeby sprawiać wrażenie, jakby się wcale nie malowało, jakby się po prostu budziło rano z takim właśnie wyglądem. Być dziewczynką oznaczało słyszeć, kiedy na ciebie gwizdzą i kiedy nie gwizdzą, śledzić wszystkie ładne dziewczynki, którym udawało się to, co nie udawało się mnie. Być dziewczynką oznaczało być zazdrosną.

A potem stałam się kobietą. Być dziewczynką oznacza stać się kobietą, a być kobietą to być czyjąś dziewczyną, partnerką i synową, interesować się wystrojem wnętrza i trendami, ale nie mieć pojęcia o technologii, brać pigułki antykoncepcyjne albo zastrzyki, albo mieć założoną spiralę, a później robić testy owulacyjne i uprawiać seks we właściwym momencie z idealną temperaturą ciała i wszystko dokładnie wyliczywszy, zająć w ciąży i dać nowe życie. Być kobietą oznaczało zostać matką, brać jeszcze więcej odpowiedzialności, piec słodkie bułeczki, karmić piersią, kołysać do snu i pocieszać, być dużą, ciepłą i miękką, ale także – znów chudą, tak szybko, jak się tylko da. Być kobietą oznaczało błyskawicznie wrócić do pracy, i musiała to być dobra praca, taka, która dużo od ciebie wymaga, ale która nie wywiera negatywnego wpływu na relacje rodzinne i towarzyskie, być kobietą to być przyjaciółką, mieć krąg znajomych, obgadywać i plotkować, dzielić się tajemnicami, pić wino zamiast piwa, a czasem drinki, ale nie za dużo naraz. Być kobietą oznacza czuć na sobie pełen potępienia wzrok, gdy się jest pijaną. Być kobietą oznacza chodzić do łóżka ze starszymi mężczyznami, młodszymi mężczyznami, być kobietą oznacza chodzić do łóżka z innymi kobietami. Być kobietą oznacza kuśtykać na wysokich obcasach po wybrukowanych ulicach, używać perfum, prostownicy i lokówki, być kobietą to tańczyć z zamkniętymi oczami, tańczyć samotnie, gdy ten, którego kiedyś kochałaś, tańczy z kimś innym, być kobietą oznacza być młodą tak długo, jak się da, a potem zniknąć, gdy staniesz się zbyt starą. Być kobietą oznacza być niewidoczną, chorować w niewidoczny sposób, mieć problemy ze zdrowiem, których nikt nie umie wyjaśnić. Być kobietą oznacza krwawić, odczuwać ból, leżeć w łóżku, być na zwolnieniu, chorować psychicznie, słuchać od innych, że trzeba trochę odpocząć, że trzeba schudnąć. Być kobietą oznacza być nazywaną dziwką, jeśli chodzi

się do łóżka ze zbyt wieloma osobami, być kobietą oznacza być dość sexy, żeby wszyscy chcieli chodzić z tobą do łóżka, być kobietą oznacza być zabijaną, jeśli nie leży się cicho i milczy, być kobietą oznacza milczeć, gdy tak naprawdę chce się krzyczeć, być kobietą oznacza, że nikt ci nie wierzy, być kobietą oznacza być obwinianą, być kobietą oznacza wracać do domu, ściskając klucze w palcach, nie móc nosić za krótkiej spódnicy albo za długich włosów, albo za bardzo się upijać, być kobietą oznacza nie być nieodpowiedzialną albo głupią, być kobietą oznacza być trochę głupią i nieodpowiedzialną, a przynajmniej robić takie wrażenie, być kobietą oznacza nie wiedzieć, o czym się mówi, być kobietą oznacza być nazywaną dziewczynką, popychaną na ścianę, ciągniętą za włosy, być kobietą oznacza być idealną mieszanką osoby seksownej i słodkiej, być kobietą oznacza być histeryczką, być kobietą oznacza wziąć się w garść, być kobietą oznacza krwawić, aż się w końcu przestaje, a potem uschnąć i zniknąć. Być kobietą oznacza być gorącą i mokrą i spać na zimnej mokrej plamie, być kobietą oznacza nie mieć włosów nigdzie poza głową, być kobietą oznacza być feministką, ale w sposób, który będzie akceptowalny dla mężczyzn, być kobietą oznacza żyć w świecie pełnym mężczyzn nienawidzących kobiet, być kobietą oznacza milczeć w towarzystwie i jęczeć w łóżku, być kobietą oznacza zjeść jabłko, bo się uwierzyło wężowi, być kobietą oznacza mieć złamane serce, zostać porzuconą dla młodszej kobiety, która chadza do łóżka ze starszymi mężczyznami, być kobietą oznacza przewracać oczami, słuchając głupich młodszych kobiet, które niczego nie rozumieją, być kobietą oznacza dzwonić do swoich córek i prosić je, by się ubrały, bo na dworze jest zimno, prosić, by były ostrożne, nie upijały się za bardzo w pubach, uważały na siebie, być kobietą oznacza kupować formułę przeciwko starzeniu z witaminą B3 zapewniającą blask

i wygładzenie, być kobietą oznacza piec babeczki, których nie można samej jeść, być kobietą to steper i orbitrek na jędrniejsze pośladki, być kobietą oznacza dostawać wiadomości o godzinie 03:14: „jesteś na mieście?” Być kobietą oznacza siedzieć w domu z dziećmi, brać trzecią zmianę, zarabiać płacę minimalną, pracować za darmo przez ostatnich czterdzieści dni w roku, być kobietą oznacza być wściekłą, być kobietą oznacza być furią, być kobietą oznacza chodzić do psychologa, bo nie nauczyliśmy się czuć swoich uczuć, być kobietą to słuchać, jak mężczyźni objaśniają nam świat, być kobietą oznacza mylić się po raz enty, być kobietą oznacza dawać życie i nie być w stanie żyć samej. Być kobietą oznacza kazać całej rodzinie się zamknąć, bo nie słyszy się własnych myśli. Być kobietą oznacza leżeć na wodzie przy domku letniskowym po tym, jak się nawrzeszczało na wszystkich, których się kocha, kazało im się zamknąć i wziąć się w garść. Być kobietą oznacza próbować samej wziąć się w garść.

Leżę na wodzie w pełni ubrana. Pada deszcz, ale w morzu jest ciepło. Leżę na wznak i dryfuję, kołysana drobnymi falami, które poruszają mnie lekko w górę i w dół, w przód i w tył. Na plaży panuje cisza, nie ma tu żywej duszy. Nad moją głową jest szaro, ciemno, woda też jest szara, niebo przegląda się w morzu. Poza mną jest piasek, muszle i wodorosty, nade mną – cały wszechświat. Leżę i dryfuję, ubrania nasiąkły wodą i ciężką, ale utrzymuję się na powierzchni. Jest dość płytko, więc się nie boję. Nie wiem, jak długo będę tak leżała, a już w ogóle nie mam pojęcia, co zrobię później.

Jak się tu znalazłam?

Dobre pytanie.

Możliwe, że nigdy nie byłam osobą, która nad wszystkim panuje, ale robiłam, co w mojej mocy. Wstawałam rano, gotowałam obiady dla rodziny, płaciłam rachunki i odkurzałam mieszkanie, kładłam się o rozsądnej porze, chadzałam na wywiadówki, zamawiałam zakupy, które dostarczano mi w skrzynkach do domu, i pilnowałam, żebyśmy wszyscy jedli dość warzyw, smażyłam naleśniki dla mojej córki i próbowałam regularnie uprawiać seks z moim mężem. Żyłam zwyczajnym, pozbawionym wielkich wydarzeń życiem i jest mi lepiej niż większości ludzi na tej dryfującej przez kosmos kuli. Mam pieniądze na koncie na wypadek, gdyby zastrajkowała mi pralka, pracę, w której jestem w stanie wytrzymać, i nadzieję, że po sześćdziesiątce przejdę na emeryturę. Zostało mi jeszcze jakieś dwadzieścia lat. A gdy ten czas nadejdzie, mam w planach czytanie książek i picie wina. Oraz święty spokój.

Gdy byłam młodsza, lubiłam czytać o wszechświecie. Myśl, że jest nieskończony, niosła pociechę. Wyobrażałam sobie nieskończenie wiele wersji samej siebie, na odległych planetach w odległych galaktykach. Mama tych wersji pukała do drzwi i pytała, czy się napiją kakao, i miałam przyjaciół, którzy mnie lubili. I dostawałam dobre oceny albo dostawałam złe oceny i nie było mi z tego powodu przykro. W ogóle nie było mi przykro z żadnego powodu.

Kiedy miałam dziesięć lat, mama zabrała mnie na dwór, choć minęła już pora kładzenia się spać, i pokazała mi kometę na niebie. Kometę krążyła po orbicie wokół Ziemi przez wieleset lat, a mama była dzieckiem, gdy widziała ją po raz ostatni. Pamiętam, że ciepło się ubrałyśmy, było zimno i ciemno, jeszcze nie do końca zima, ale już ścisnął mróz. Włożyłyśmy kurtki, czapki i rękawiczki, myślałam, że to bardzo ekscytujące móc wyjść na dwór, choć powinnam leżeć w łóżku i spać. Mama spytała, czy jestem zmęczona, a ja pokręciłam głową. Tata został w domu, ale my otworzyłyśmy drzwi, zeszłyśmy na plac przed blokiem i ustawiliśmy się w dobrym miejscu. Nie było tam nikogo, tylko my dwie na tym wielkim placu, z setką jaśniejących okien dookoła i jaśniejącą kulką na niebie nad nami, kulką, która nie była gwiazdą ani Księżycem, ani Słońcem, lecz płonąca skała krążąca wokół planety.

– Wydaje się mała – powiedziałam i uniosłam ku niej palec, jakbym ją chciała zmierzyć.

– Tak, z tego miejsca faktycznie wygląda na małą. Ale jest bardzo duża. Inaczej byśmy jej stąd nie widziały, bo przelatuje bardzo daleko.

– Dalej niż Słońce?

– Nie sądzę, Słońce jest chyba jeszcze dalej i jest jeszcze większe – odrzekła mama.

– Moim zdaniem ono też nie wygląda na duże – oświadczyłam.

– Jest wiele rzeczy, które nie wyglądają na duże, a tak naprawdę są ogromne.

– Ogromne – powtórzyłam, nadal patrząc na jaśniejącą kulę, która ciągnęła za sobą coś jakby ogon.

Nie byłam w stanie pojąć, jaka jest duża, bo widziałam tylko okrągły punkcik nie większy niż opuszka uniesionego przed nosem kciuka.

Długo tak stałyśmy. Oparłam się o mamę i dopiero gdy ziewnęłam, ona zapytała, czy chcę wracać do domu.

– Jeszcze trochę – odrzekłam, więc postaliśmy jeszcze chwilę.

W momencie gdy zasypiałam, do ponownego pojawienia się komety na niebie zostały trzydzieści trzy lata i osiem miesięcy. A do dnia, gdy mama miała wyjść za drzwi po raz ostatni i już nigdy nie wrócić – dwa lata i trzy miesiące.

Byłam zwyczajnym dzieckiem. Gdy urodziła się Elise, potrafiłam rozpoznać samą siebie w tym, co robiła czy mówiła. Kiedy po raz pierwszy jadła lody, wróciłam myślami do pierwszych lodów, których smak pamiętałam. Były słodkie i trochę mi się rozpuściły w ręku, ale w ogóle się nie przejmowałam lepką mazią, pamiętam tylko smak, który został mi na palcach jeszcze długo po tym, jak próbowałam go z nich zlizać. Gdy moja córka nauczyła się jeździć na rowerze, przypominałam sobie, jak sama niepewnie pedałowalam asekurowana przez boczne kółka, pod oknami mieszkania, w którym dorastałam. Kiedy poszła do szkoły, wróciłam pamięcią do mojego pierwszego plecaka i piórnika oraz tego, jak kartka z imieniem wyglądała na ławce przede mną. Narysowałam na niej kwiatek koło literki „B”, a także drugi, nad „I”. Kartka pogmiotła mi się w plecaku po drodze do domu, ale nadal uważałam, że jest ładna, i dopiero gdy zrozpaczona mama spytała, czemu tak nieostrożnie wepchnęłam ją do plecaka, pojęłam, że zrobiłam coś nie tak, choć nie miałam pojęcia, jak inaczej miałabym się zachować. Może mogłabym przynieść kartkę do domu w ręce i nie chować jej do plecaka, ale wszyscy inni schowali swoje kartki. A ja uczyłam się być sobą, patrząc na wszystkich innych. Bo to przecież robimy. Naśladujemy tych, których widzimy wokół siebie, patrzymy, co robią, i to powtarzamy. Gdy skończyłam dwanaście lat, mama od nas odeszła. Byłam wtedy już dość duża, by pojąć, że nie zawsze powinniśmy naśladować cudze zachowania, czasem trzeba robić coś zupełnie przeciwnego.

Co prawda nikt nam nie mówi, kiedy należy się tak zachować, takie decyzje trzeba podejmować samemu.

W życiu są zasady i niektóre z nich mają charakter absolutny. Nie zabijaj. Nie kradnij. Nie dręcz innych, bądź miły i grzeczny.

Jako dziecko, a w każdym razie jako nastolatka, byłam zafascynowana regułami. Lubiłam reguły, nadal je lubię, łatwo się do nich odnosić. Wyjątków od reguł natomiast nienawidzę. Bo wtedy wszystko się wali. Najlepiej, jeśli człowiek się na coś zdecyduje i się tego trzyma. A jak się zmienia zdanie, można przedefiniować reguły. Bo po co w ogóle tworzyć jakąś regułę, jeśli nie ma się zamiaru jej przestrzegać?

Nie ma żadnych jasnych zasad regulujących to, w jaki sposób jest się samym sobą. Jest za to cała kupa reguł niepisanych. Ale jak bardzo one są niepisane, skoro każdy je zna? Dziewczynki mają chodzić w spódniczkach, być grzeczne, bawić się Barbie, nosić długie włosy, lakierować paznokcie i robić makijaż, interesować się całowaniem i sprawami sercowymi.

Chodziłam w spódniczce, choć czułam się z tego powodu głupio. Próbowалам być grzeczna, ale często się złościłam i robiłam aferę. Nie w ten sam sposób jak chłopcy, którzy potrafili nawrzeszczyć człowiekowi w twarz, bo ja umiałam tylko wrzeszczeć sama na siebie, z buzią wciśniętą w poduszkę. Nie lubiłam płakać, ale często płakałam, gdy byłam zła. Bawiłam się Barbie, moją ulubioną lalką była Barbie Gimnastyczka w kolorowym stroju i z różową gumką we włosach. Można było zginać jej nogi we wszystkich kierunkach, również w kolanach. Podkradałam mamie lakier do paznokci i kosmetyki, a kiedy odeszła, zostawiła to wszystko w domu, więc od

tamtego dnia jej rzeczy należały do mnie. Nie bardzo się interesowałam całowaniem i sprawami sercowymi. Fascynowali mnie ludzie, z którymi chodziłam do klasy, byłam zaskoczona, że niewielu z nich się wścieka, że po prostu przyjmują świat takim, jakim jest. Bo ja się wściekałam każdego dnia. Wściekałam się w stołówce, bo mleko czekoladowe kosztowało dwadzieścia koron, bo każdego dnia w kolejce stali ci sami uczniowie, a inni pewnie w ogóle nigdy nie stali w kolejce, bo nie mieli pieniędzy. Wściekałam się w liceum, gdy Daniel zaczął chadzać z różnymi osobami do łóżka i wszyscy myśleli, że jest strasznie fajny, ale jak Emilie poszła do łóżka z kimś z innej szkoły, to zaczęli ją wyzywać od dziwki. Mówi się, że najpaskudniejsze dla dziewczyn są inne dziewczyny, ale słyszałam, jak Daniel też o niej mówi, że jest dziwką, i wkurzyłam się wtedy, że nie ma słowa oznaczającego dziwkę, które by pasowało do chłopaków. Wściekałam się, bo mama odeszła, a tata został i jedyne, co robił, to było oglądanie telewizji. Wściekałam się, bo czas płynął tak straszliwie wolno i za każdym razem, gdy miałam okres, robiły mi się pryszczki na szyi. Wściekałam się, bo była wojna, a politycy w telewizji kłamali, wściekałam się, bo za wszystko trzeba było płacić, wściekałam się, bo świat dążył do zagłady i wściekałam się, bo byłam dziewczyną i właściwie nie powinnam się wściekać. Powinnam być pogodna i uśmiechnięta, powinnam być trochę głupia i grzeczna, powinnam być empatyczna i zajmować się ludźmi dookoła mnie. Ale kto miał się zajmować mną? Również ja, i na to wściekałam się najbardziej. I jeszcze na to, że Emilie chichotała, gdy Daniel pytał, czy ma plany na weekend, i słała mu całusy, zamiast wydrapać mu oczy.

W dziesiątej klasie, tuż przed wakacjami, cała moja grupa chciała uciec ze szkoły na długiej przerwie i iść się kąpać. Potem mieliśmy mieć jeszcze dwie lekcje, więc powiedziałam, że ja nie idę. Nie wolno chodzić na wagary, bo potem te godziny są odnotowane na świadectwie jako nieobecność. Nie miałam ani jednej nieobecności i nie rozumiałam, czemu nagle miałyby się tam pojawić dwie godziny, skoro do końca gimnazjum zostało nam dosłownie parę tygodni.

Na przyrodzie, naszej ostatniej lekcji przed długą przerwą, Marianne zapytała, czy pójdziemy razem.

– Razem? – zapytałam.

Gdy uniosła brwi i się uśmiechnęła, nie było widać nic poza aparatem ortodontycznym.

– No chyba z nami idziesz? – zapytała, gdy nie odwzajemniłam uśmiechu.

– Nie mam zamiaru wagarować – rzuciłam cicho i wbiłam wzrok w zeszyt, w którym zaczęłam już rozwiązywać dodatkowe zadanie.

– Ale Britt, przecież wszyscy idą, nikt nie zostaje.

– Nie zwolnili nas z lekcji – odparłam, a Marianne odsunęła się ode mnie tak gwałtownie, że nogi krzesła zaszurały o linoleum. Szepnęła coś do Emilie, a Emilie szepnęła coś do Asifa, Asif szepnął coś do Daniela, a Daniel do Suleimana, ja natomiast zrobiłam błąd, pisząc w zeszycie, i musiałam wyjąć gumkę.

Na długiej przerwie wyszłam ze szkoły razem z innymi, ale kiedy oni wsiedli na rowery i wyjechali z podwórza, ja zostałam. Spoglądałam za nimi przez chwilę, a potem wróciłam do klasy. Gdy zabrzmiał

dzwonek, siedziałam tam jako jedyna. Kiedy matematyczka przyszła kilka minut po dzwonku, zobaczyła tylko mnie. Oparła się o biurko. Zapytała, czy wiem, gdzie są wszyscy inni. Rzecz jasna wiedziałam, ale jedynie wzruszyłam ramionami, bo nie chciałam donosić.

– Możesz iść, Britt, nie będzie dziś matematyki.

– A będę miała nieobecność? – spytałam, ona zaś zmierzyła mnie przeciągłym spojrzeniem i pokręciła głową, po czym zebrała swoje książki i poszła zamknąć klasę.

– To dobrze – stwierdziłam.

Spakowałam rzeczy i wyszłam na zupełnie puste szkolne podwórze. Wiedziałam, gdzie są wszyscy, znałam drogę, mogłam po prostu do nich pójść, ale zamiast tego wróciłam do domu i odrobiłam lekcje, siedząc przy biurku, a kilka godzin później zobaczyłam, jak pierwsze osoby z mojej klasy wracają na osiedle, słyszałam dobiegające zza okna śmiechy.

Czułam się wykluczona, ale oni mnie przecież zapytali, czy chcę z nimi pójść – i to kilka razy. Postąpiłam zgodnie z zasadami. Nadal dużo myślę o zasadach, ale nie ma żadnych jasnych zasad regulujących bycie dorosłą. Muszę jakoś sobie dawać radę na bieżąco, a naprawdę nie umiem improwizować.

Wspominam tamtą chwilę i zastanawiam się, co mogłoby być inaczej, gdybym z nimi poszła.

Miałabym na świadectwie dwie godziny nieobecności.

Może wyniosłabym z gimnazjum dobre wspomnienie.

Mogłabym się z kimś zaprzyjaźnić.

Ale mogłabym też utonąć.

Nie przypominam sobie, żeby moja matka się często złościła. Głównie było jej przykro. Paliła papierosa za papierosem i wyglądała przez okno. Irytowała się na mnie, ale szybko jej przechodziło. Nie wściekała się tak, jak ja się wściekam, nie był to stan przewlekły, emocje szybko w niej wzbierały i równie szybko opadały. Czy kiedykolwiek za coś przeproszała? Tego też sobie nie przypominam. Pamiętam tylko, że szybko się nauczyłam być cicho i robić to, co mi się każe, często jeszcze zanim kazano mi to zrobić. Sprzątałam swój pokój, przygotowywałam kanapki do szkoły i ustawiałam buty w równym rzędku w korytarzu. Nie skarżyłam się, gdy ubrania robiły się na mnie za ciasne. Wiedziałam, że nie mamy dużo pieniędzy. Inne dziewczyny w klasie dostawały od rodziców markowe ubrania i buty Buffalo, ja za to dostałam pracę jako roznosicielka gazet. To było już po tym, jak mama od nas odeszła. Nie miała okazji zobaczyć, jak wstaję w niedzielę o piątej rano i robię swoją rundkę. Nie widziała, jak pierwszy raz się maluję. Nie zobaczyła, jak kończę gimnazjum albo liceum. Pamiętam, że szukałam jej wzrokiem, zupełnie jakby miała wybrać taki właśnie moment, żeby się pojawić. Wyobrażałam sobie, że znajdę jej twarz w tłumie, nawiążę z nią kontakt wzrokowy, zobaczę, że tam stoi, bardzo ze mnie dumna. Zamiast tego odnajdowałam twarz taty, pośród innych rodziców, którzy robili zdjęcia i nam machali. On zaś po prostu siedział, patrząc przed siebie, i kiwał nieznacznie głową, gdy nasze spojrzenia się spotykały.

On też nie bywał jakoś bardzo zły. Po odejściu mamy właściwie w ogóle przestał być jakikolwiek, po prostu sobie istniał.

Wyprowadziłam się z domu w wieku dziewiętnastu lat, dostałam pracę sekretarki zaraz po liceum, właściwie powinnam zacząć studiować, ale nie udało mi się znaleźć niczego, co by mi pasowało, i po paru latach stwierdziłam, że więcej sensu będzie miało zarabianie pieniędzy. Czułam się dorosła, ale nie stara.

Gdy wyprowadziłam się z domu, tata pomógł mi powiesić zasłony w nowym mieszkaniu, a potem zaparzyłam nam kawę. Wypiliśmy ją w milczeniu w mojej małej kuchni.

– Ładnie tu – stwierdził tata, nie rozejrzawszy się nawet dookoła.

A potem odprowadziłam go do auta, które zaparkował kawałek dalej. Machałam mu, gdy odjeżdżał, i pamiętam, że czułam się wolna i radosna, jakby wszystko miało się zacząć na nowo. Albo zacząć naprawdę, tak porządnie. I w pewnym sensie tak się właśnie stało.

Byłam dorosła, a świat leżał u moich stóp.

Wstawałam wcześnie i jechałam do pracy. Co miesiąc zarabiałam pieniądze, dość, by płacić rachunki, kupować sobie nowe ubrania, trochę odłożyć, od czasu do czasu wyjść do restauracji, pić piwo i wino i zamawiać jedzenie z dostawą do domu w niedzielę, gdy cały dzień leżałam w łóżku.

Mama miała nad łóżkiem ramkę z długim angielskim cytatem. Brzmiał mniej więcej tak: „Zakończ każdy dzień i miej to już za sobą. Zrobiłeś, co mogłeś. Bez wątpienia wkradły się pewne pomyłki i absurdy; zapomnij o nich jak najszybciej. Jutro jest nowy dzień. Rozpoczniesz go pogodnie i w zbyt dobrym nastroju, by przejmować się dawnymi bzdurami”.

Autor tych słów nazywa się Ralph Waldo Emerson.

Ramka wisiała nad jej stroną łóżka. Mama zostawiła ją, odchodząc, a tata nie zdjął jej ze ściany.

Czasami, kiedy było mi przykro i potrzebowałam pociechy, mama mawiała, że jutro będzie lepiej. Ale następnego dnia nadchodził po prostu nowy dzień, w nieskończonym szeregu dni podobnych do siebie jak dwie krople wody.

Poza tym w ogóle nie wierzę w nieodpowiedzialną beztroskę, o której jest ten cytat z Emersona. Zrobiłeś, co mogłeś. Ale przecież nie można mieć pewności?

Poza tym mama odeszła, po prostu zniknęła i nawet się za siebie nie obejrzała. Tata i ja byliśmy dawnymi bzdurami, które miała zostawić za sobą, ale ja tymczasem nie mogę odejść od samej siebie, nie mogę pójść w ślady mamy i czegokolwiek się od niej nauczyć, muszę tu być, ze sobą, aż do dnia swojej śmierci.

Nad moim łóżkiem nie wisi żaden oprawiony w ramkę cytat, ale gdyby wisiał, to brzmiałby:

„Ogarnij się”.

Albo: „Weź się w garść”.

Zawsze można się wziąć w garść.

W życiu obowiązują zasady, nie można po prostu robić tego, na co się ma ochotę. Jeśli dopisuje ci szczęście, to wszystko, czego chcesz, mieści się w granicach wyznaczanych przez te reguły, ale co, jeśli jest inaczej? Co, jeśli chcesz po prostu przestać cały czas wszystkiego pilnować, co, jeśli potrzebujesz chwili przerwy? Co, jeśli chcesz być kimś innym, niż jesteś? Co, jeśli nie masz siły cały czas robić tego, co powinienes, co wtedy począć?

Możesz ciągnąć wszystko dalej, zacisnąć zęby i zostać tam, gdzie jesteś.

Albo możesz złamać zasady.

Wszystko połamać.

Wyłamać się.

Załamać.

Być łamagą.

Szkoda, że nigdy nie ma dobrego momentu na załamanie nerwowe.

To takie niewygodne i egoistyczne po prostu się załamać i pozwolić, by inni po tobie sprząтали. Ale czasami przychodzą sytuacje kryzysowe.

Wstać z łóżka – sytuacja kryzysowa.

Sytuacją kryzysową jest bycie przytomną.

Sytuacją kryzysową jest zrobienie śniadania.

Sytuacją kryzysową jest wyjście do pracy.

Sytuacją kryzysową jest jedzenie lunchu.

Czekanie na chwilę, gdy będzie można pójść do domu, też jest sytuacją kryzysową.

Wykombinowanie, co zrobić na obiad – sytuacja kryzysowa.

Sytuacją kryzysową jest pójście do sklepu.

Ugotowanie obiadu też jest sytuacją kryzysową.

Patrzenie, jak minuty przechodzą w godziny, tworząc w końcu cały wieczór, aż będę się mogła znów położyć, by potem kolejny raz wstać – sytuacja kryzysowa.

Sytuacją kryzysową jest pozostawanie przy życiu.

Tak samo jak mieszkanie w tym ciele, które jest moje – sytuacja kryzysowa.

Ale sytuacją kryzysową jest również myśl o niemieszkanu w tym ciele.

Być obudzoną przez alarm przeciwlotniczy to sytuacja kryzysowa, podobnie jak nie spać z obawy, że ten alarm może rozbrzmieć w każdej chwili, nie zjeść śniadania albo nie mieć pieniędzy na śniadanie, albo rzeczy na śniadanie do kupienia w sklepie to sytuacja kryzysowa, nie mieć pracy to sytuacja kryzysowa, sytuacją kryzysową jest czekanie, aż będzie lepiej, jak również zaprzestanie czekania, że będzie lepiej, bo robi się tylko gorzej, siedzieć albo leżeć, albo stać na ziemi w czasie, gdy lądolód się topi, z nieba spadają bomby, w oceanie pływają śmieci,

wymierają zwierzęta i płoną lasy oraz wszystko zmierza ku zagładzie – oto sytuacja kryzysowa.

Sytuacją kryzysową jest depresja, sytuacją kryzysową są stany lękowe, kryzys środka życia i kryzys ćwierćwiecza to również sytuacje kryzysowe, sytuacją kryzysową jest przyjście na świat, bycie dorosłym, okres buntu to sytuacja kryzysowa, tak samo jak pierwszy krzyk, sytuacją kryzysową jest nie słyszeć pierwszego krzyku, umrzeć albo nie móc żyć – to też taka sytuacja.

Kiedyś mi przechodziło, wściekałam się, a potem to mijało, tak właśnie działają emocje, nie są wieczne. Nie da się być szczęśliwym cały czas, bo to w końcu przechodzi. I nie można się cały czas wściekać, to też mija.

Czekam tylko, żeby mi przeszło, ale wygląda na to, że utworzył się we mnie jakiś zator, korek z wściekłości, który nie pozwala, żeby to minęło.

Jako dziecko lubiałam siedzieć blisko telewizora, mama zawsze mówiła, że dostanę od tego kwadratowych oczu. Ale nigdy nie dostałam.

Teraz jednak, gdy cały wiek nastoletni i dorosłość upłynęły mi na wściekaniu się, dochodzę do wniosku, że może coś w tym było. Że jeśli jest się za blisko wszystkiego, co sprawia ból i nie okazuje się takim, jakim się powinno okazać, to w końcu nie można robić nic innego, tylko się wściekać.

Nigdy nie sądziłam, że będę taka wściekła, i gdybym mogła wybierać, wybrałabym rzecz jasna coś innego. Wybrałabym radość, ciekawość, otwartość, smutek, zadziwienie i zadowolenie, bez chwili wahania. Tylko że nigdy mi nie dano możliwości wyboru. Dostałam tylko to jedno życie, przepelniające mnie rozczarowaniem i złością.

W niektóre poranki budzę się i myślę: „Dzisiaj będzie inaczej. Dziś zacznę na nowo. Dziś wszystko stoi przede mną otworem”. Ale potem muszę zrobić drugie śniadanie dla Elise, mimo że miał się tym zająć Espen, potem muszę sprzątnąć ze stołu, chociaż miał to zrobić Espen, potem muszę marudzić, że wszyscy mają wziąć dupy w troki, żebyśmy się nie spóźnili, chociaż Espen i Elise wiedzą, że trzeba wyjść z domu kwadrans po ósmej, bo zawsze wychodzimy kwadrans po ósmej, to nie ulega zmianie, chociaż oni zawsze próbują przesuwac granice i zapominają spakować plecak, umyć zęby i wstać na czas, więc już na samym starcie mam pod górkę, a gdy w końcu siadam w autobusie, jestem zmęczona, szalik drapie mnie w szyję, kiedy zaś docieram do biura, nie jestem już taka otwarta, niezbyt się różnię od osoby, którą bywam na co dzień, w kawiarni warczę na ludzi za kontuarem, jeśli nie usłyszą mnie za pierwszym razem, w pracy nie odpowiadam, gdy koleżanki i koledzy mówią mi cześć, tylko kiwam głową i nie umiem się otrząsnąć z wściekłości, która we mnie płonie, aż w końcu pozwalam po prostu buchnąć tym płomieniom.

Kiedyś usłyszałam, że jeśli człowiek świadomie odczuwa swoje uczucia, to one po prostu mijają.

To nieprawda. Byłam wściekła przez całe moje dorosłe życie i w moim przypadku nic nie minęło.

Pobraliśmy się z Espenem dziesięć lat temu. Miałam wtedy trzydzieści trzy lata, a gdy zaszłam w ciążę – trzydzieści pięć. Czułam, że to już za późno. Od lat oglądałam znajome i koleżanki z wielkimi brzuchami. Mówiłam im, że gratuluję albo och, jak miło, albo no już czas był najwyższy, wszystko to, co się mówi, gdy ktoś obwieszcza, że będzie miał dziecko, że zakłada rodzinę, i za każdym razem czułam ukłucie. W mózgu, piersi i brzuchu. Wkrótce musiała nadejść moja kolej. Bo jeśli nie, to tęsknota wybije się przez pory mojego ciała, wyleje ze mnie i utworzy mi u stóp kałużę. Ale uśmiechałam się jak najszerzej, gratulowałam i szłam dalej przez dzień. Spotkałam Espena i nie dalej jak rok później byliśmy już małżeństwem. I w końcu urodziło się nam dziecko. Dla niego to było za szybko, a dla mnie – za wolno. Miałam wrażenie, że całe życie się spieszyłam, jakbym cały czas pędziła przed siebie w strachu, że na coś nie zdążę, a teraz tu leżę i nie wiem, dokąd tak biegłam, gdzie był mój cel. Straciłam go z oczu. Straciłam z oczu samą siebie.

Espen ma tych samych przyjaciół co w czasach, kiedy dorastał. To taka zgrana paczka ludzi, którzy tak jakby uzupełniają się nawzajem. Jest wśród nich godny zaufania ojciec rodziny, Trond, z piękną i mądrą żoną, Anitą, która cały czas się śmieje i ćwiczy na siłowni, jest również Nico, niezależna i przebojowa koleżanka, która zawsze była jednym z chłopaków i z którą mimo to wszystkie chłopaki chcą pójść do łóżka. Uważam, że Trond i Anita są okej, to takie nudne i nieszkodliwe osoby, mają dwójkę dzieci, nastolatkę, która na szczęście niedługo wyprowadzi się z domu, i dużo młodszego syna, który nie zwróci większej uwagi na tę zmianę, pod warunkiem, że będzie miał komórkę, na której pozwoli mu się grać w gry. Nico natomiast nienawidziłam od dnia, w którym się poznałyśmy, i ta nienawiść jest tak silna, jakby nigdy nie miała przeminąć. Najbardziej nienawidzę w niej tego, że ona chyba naprawdę próbuje znaleźć we mnie coś, co mogłaby polubić, jakby starała się dogrzebać do czegoś, co nas łączy, o czym byśmy mogły porozmawiać, jakby marzyła, że pewnego dnia mnie do siebie przekona i będziemy siedzieć do późnej nocy, tocząc poważne rozmowy, otwierać się przed sobą, a potem kłaść się spać jako – w końcu – przyjaciółki. To wszystko się nigdy nie zdarzy i jest mi z tą myślą zupełnie dobrze. Nico nie może znieść tej świadomości, z czym również nie mam żadnego problemu.

Jestem cztery lata starsza od Espena. Gdy się poznaliśmy, byłam młodsza niż teraz, ale nadal starsza od niego. Pamiętam, że podobało mi się jego poczucie humoru, i wyobrażałam sobie, że życie z nim będzie zwyczajne, ale jednocześnie bezproblemowe i pełne śmiechu. Bo tam, gdzie u mnie był ciężar, u niego znajdowałam tylko lekkość, on był beztroski i wolny, ja – ponura i krytyczna, już wtedy. Espen to typ w rodzaju „szklanka jest w połowie pełna, a jeśli nie, to zawsze można dolać wody z kranu”, ja tymczasem nadal czekam, aż ktoś napełni tę pierdoloną szklankę, która stoi przede mną całe godziny, a mimo to nikt się mną nie przejął ani niczego nie zaproponował. Byłam kiedyś zakochana w Espenie, ale prawie już tego nie pamiętam. To znaczy: pamiętam to jako coś, co wiem, że się zdarzyło, co stoi zapisane w podręczniku do historii, ale nie umiem sobie przypomnieć, jakie to było uczucie.

Gdy się poznaliśmy, Espen był młody i niedoświadczony, ale wiedziałam, że jeśli mam zajść w ciążę, to nie powinniśmy czekać zbyt długo. On mówił, że nie jest jeszcze gotowy na dzieci, i często się o to kłóciliśmy, ale ja sobie myślałam, że on nie będzie gotowy, dopóki dziecko się nie urodzi, i z kłótni na kłótnię robiłam się coraz starsza, więc w końcu go okłamałam. Powiedziałam, że biorę tabletki, choć tak naprawdę je odstawiłam. Espen nadal uważa, że jest jednym z tych mężczyzn, którym udało się ominąć magiczną tarczę pigułki antykoncepcyjnej, a pierwszy szok na wieść, że zostanie tatą, zmienił się szybko w rodzaj dumy z własnej płodności i męskiej witalności. „Tego tutaj nic nie powstrzyma”, potrafił oświadczyć, wskazując na swoje krocze, a ja siedziałam obok niego z moim wytęsknionym okrągłym brzuchem, uśmiechając się do jego głupich dowcipów. Po czasie wielokrotnie rozważałam, czy nie powiedzieć mu prawdy, gdy się pokłóciliśmy albo gdy czułam się wszystkim zmęczona, ale za każdym razem udawało mi się powstrzymać. Uderzyłoby to we mnie tak samo mocno jak w Espena, więc pozwalałam mu nadal wierzyć, że było tak, jak mówi. Elise jest dzieckiem chcianym, chciałam jej bardziej niż czegokolwiek innego. Espen być może nigdy nie pragnął dzieci, ale pokochał ją, gdy przyszła na świat. Kochamy Elise, mimo że pewnie nie kochamy już siebie nawzajem.

Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat i jest to bez wątpienia najtrudniejsze wyzwanie, przed którym postawiło mnie życie. Czy on uważa, że to równie trudne? Najwyraźniej nie.

W każdym razie sądzi, że to ja jestem trudna.

Co zresztą może jest prawdą.

Ale jednocześnie trudno jest być mną.

Nico nie jest trudna.

Espen przedstawił mnie Nico w pubie, w którym przesiadywała jego paczka. Byliśmy ze sobą od kilku tygodni, a on dużo opowiadał o Trondzie i Nico, z początku myślałam, że to dwaj jego koledzy, ale gdy weszliśmy do lokalu, Trond i Nico wstali, by się z nami przywitać, ja zaś byłam zaskoczona, słysząc, że dziewczyna, która siedzi obok Tronda i jest tak nonszalancko piękna ze swoimi długimi włosami, to Nico, a nie ktoś inny, ktoś, kto po prostu przyszedł tu z Trondem. Podałam jej rękę, ale uścisk mojej dłoni był słaby, więc Nico ścisnęła mnie tak, że niemal zgmiotła mi palce. Uśmiechnęłam się przepaszająco i spojrzałam na Espena, który szczyrzył się, prezentując mnie swoim przyjaciołom i jednocześnie prezentując swoich przyjaciół mnie.

Byliśmy w ich ulubionym pubie, w którym barmani zawsze ucinali sobie pogawędkę z tym, kto akurat kupował kolejkę, a szafa grająca pełna była kawałków, które wyśpiewywali na głos. Nie znałam tych samych piosenek co oni i czułam się niemal za stara, by siedzieć w tym lokalu, choć dzieliło nas zaledwie kilka lat. Nigdy nie miałam w zwyczaju przesiadywać w takich miejscach, lekko obskurnych knajpach, gdzie na parapetach stoją wypchane zwierzęta, a stoły i krzesła wyglądają na przyniesione z pchlich targów. Próbowalam nadążać za tym, o czym mówili Espen i jego przyjaciele, ale oni omawiali jakieś rzeczy, które zdarzyły się wcześniej, gadali o ludziach, których znali, a o których ja nigdy nie słyszałam, więc siedziałam obok nich, mając nadzieję, że śmieję się we właściwych momentach, oni zaś coraz bardziej się upijali. Nico co jakiś czas wychodziła sama do toalety, nie pytając, czy chcę się do

niej przyłączyć, ja zaś czułam się przez to wykluczona. Byłam przyzwyczajona, że dziewczyny chodzą do łazienki razem i że to tam tak jakby się ze sobą rozmawia, że to właśnie w takich miejscach można się porządnie poznać. Ulubiony pub Espena i jego paczki miał toaletę uniseks i nie było w niej miejsca, by robić cokolwiek poza tym, co się musiało, do dyspozycji miało się tylko jedną umywalkę, bez lustra, przed którym można by poprawić makijaż. Nico wyszła z jednej z kabin, gdy stałam w kolejce, i zaczęła myć ręce, a ja zamarłam, trochę niepewna, czy powinnyśmy zacząć rozmawiać, skoro obie jesteśmy tam równocześnie. Nico tylko się do mnie uśmiechnęła i strząsnęła wodę z dłoni, próbując je w ten sposób wysuszyć albo podsuszyć, potem zaś przeczesła włosy palcami, zmierzwiła je i wróciła do Espena i Tronda, ja tymczasem zostałam sama, chciało mi się siku i czekałam, aż przyjdzie moja kolej, by skorzystać z ciasnej toalety.

– Co to właściwie za imię dla dziewczyny: „Nico”? – spytałam, gdy trochę później szliśmy z Espenem do niego do domu.

– Chyba normalne. Ona się tak naprawdę nazywa Nicoline, ale to przecież brzmi jak z innej planety, więc tak jakby zawsze była dla nas Nico. Ta dziewczyna z Velvet Underground też się tak nazywała, to chyba zupełnie zwyczajne dziewczyńskie imię?

– Myślałam, że to skrót od Nicolay – rzuciłam, a Espen zaśmiał się swoim głośnym, głupim śmiechem, który już wtedy zaczął mnie trochę żenować.

– Nicolay to na pewno nie dziewczyńskie imię – oświadczył i zmierzwił mi włosy.

– No tak, mam tego pełną świadomość, dlatego byłam zaskoczona – odparłam, próbując na powrót wygładzić fryzurę, odgarnąć włosy za uszy, z nadzieją, że nie wyglądam głupio, a gdy Espen nic już nie powiedział, postanowiłam, że nie będę wracać do tematu. Nico była

dziewczyną, a ja musiałam przyzwycząć się do myśli, że dwoje najlepszych przyjaciół Espena to facet o imieniu Trond, rozsądny i przystojny, oraz osoba o imieniu Nico, która ma cycki i długie włosy i spędza zakrapiane wieczory z moim chłopakiem, czy mi się to podoba, czy nie.

WSZYSTKIE MOJE NIEDOSZŁE ZAŁAMANIA

– Mogę chodzić na jogę w środy? – zapytałam pewnego dnia, gdy już leżeliśmy w łóżku.

Espen grzebał w komórce i nie odpowiedział.

– Halo?

– Co jest? – Spojrzał na mnie, nie wypuszczając telefonu z ręki.

– Mogę się zapisać na kurs w środy?

– O której w środy?

– Zajęcia zaczynają się o piątej. Mogłabym wracać do domu kwadrans po szóstej, pod warunkiem, że nie odjedzie mi autobus.

– A czy to nie będzie za późno na obiad? Skoro Elise ma się kłaść przed ósmą?

Zrobiłam głęboki wdech, wtlaczając powietrze aż do brzucha, i dopiero odpowiedziałam:

– Musiałbyś odbierać w te dni Elise i sam gotować dla was obiad. Ja mogę jeść coś lekkiego przed jogą.

– A po co ci właściwie ta joga? Czy to nie są przypadkiem takie bzdurne pseudosportowe zajęcia dla hipisów?

– Tym to się w ogóle nie martw. Możesz się zajmować Elise, kiedy będę na głupim hipisowskim kursie, czy nie?

Espen westchnął, po czym oświadczył, że od czasu do czasu pewnie może.

– Tylko że jeśli się zapiszę, to nie wystarczy, że będziesz to robił od czasu do czasu. Musisz się nią zajmować co tydzień do końca kursu.

– A ile on trwa? Cztery tygodnie? Sześć? – Espen spojrział na mnie z uniesionymi brwiami. – Osiem?

– Łącznie piętnaście tygodni, ale w ferie bożonarodzeniowe i wielkanocne nie ma zajęć.

– Więc to wszystko się nie skończy przed latem?

– Ostatnie zajęcia są w maju.

– To ja w takim razie chcę piętnaście razy wyjść z chłopakami na miasto.

– To nie to samo, Espen.

Usiadłam w łóżku.

– Jak to nie?

W końcu podniósł wzrok znad komórki. Położyłam się i odwróciłam do niego plecami, kazałam mu zgasić światło. Na krótką chwilę zapanowała zupełna cisza.

– No i na czym stanęło? Mam się zajmować Elise w każdą środę do końca świata czy nie?

– Jesteś jej tatą, Espen.

– Może powinniśmy pomyśleć o opiekunce, skoro planujesz mnóstwo kursów i innych wyjść?

– Dobranoc – powiedziałam cicho, zmęczona kłótniami, zmęczona tym, że wszystko przeradza się w kłótnię.

Po raz pierwszy oskarżyłam Espena o zdradę pewnej nocy, gdy wrócił późno do domu. Chodziłam wtedy w ciąży z Elise, która jeszcze nie miała na imię Elise, nie wiedzieliśmy nawet, czy jest dziewczynką, czy chłopcem, wiedzieliśmy tylko tyle, że istnieje. Trochę na tej samej zasadzie nie wiedziałam, od kogo wraca Espen, gdy wszedł tamtego wieczora do domu, pijany, śmierdzący wódką. Nie spałam, zazwyczaj zasypiałam przed jego powrotem, ale wtedy nie spałam, a on się wściekł, jakbym złamała tym samym zapis jakiejś umowy, jakby nocny powrót z imprezy był czymś, co powinien móc zrobić w samotności: przyjść późno do domu, wtoczyć się do łazienki, wziąć prysznic, umyć zęby, czknać, wślizgnąć się do sypialni i zwalić do łóżka obok mnie, ja zaś miałam w tym czasie spać, nieświadoma, jak bardzo jest późno, nieświadoma, gdzie on był i co robił. Ale tamtego razu nie spałam.

– Cześć – rzuciłam.

– A, cześć – wymamrotał Espen.

– Gdzie byłeś? – zapytałam.

– Dobrze wiesz – odparł i już zaczął grzebać w komórcie, ale wypadła mu z ręki i zaklął, wychylając się z łóżka, by ją podnieść.

– Dochodzi czwarta rano – zauważyłam, a on na to, że owszem i co z tego.

– Anita wrzuciła zdjęcie, na którym oglądają z Trondem film, jakieś trzy godziny temu – ciągnęłam.

– Trond nie jest moim jedynym kolegą – odrzekł Espen.

– No nie, ale to chyba z nim byłeś dziś na mieście?

– Owszem, ale byli tam też inni ludzie.

– A kto taki?

– Czemu mnie wypytyujesz? Co twoim zdaniem zrobiłem?

– Dlaczego wzięłeś prysznic?

– Że co proszę?

– Dlaczego wzięłeś prysznic?

– Co...? – Espen usiadł w łóżku, włączył światło i na mnie spojrzał.

– To taki problem odpowiedzieć? Czy może trudno znaleźć odpowiedź?

– Co ty sobie właściwie ubzdurałaś?

– Niczego sobie nie ubzdurałam, po prostu pytam.

– Myślisz, że cię zdradzam, o to chodzi?

– Nic takiego nie powiedziałam, to twoje słowa.

– Aha.

Zmierzyliśmy się wzrokiem. Podciągnęłam kołdrę pod brodę, jakbym chciała ukryć swoje ciało. On zaś pokręcił głową i wymamrotał coś, czego nie dosłyszałam.

– Co mówisz?

– Jesteś nienormalna – powtórzył, tym razem głośniej.

– Bo się zastanawiam, czemu wracasz do domu o czwartej rano i wskakujesz pod prysznic? Czy to takie nienormalne?

– Nie uprawiałem z nikim seksu – powiedział cicho. – Tak się składa, że nie uprawiałem z nikim seksu już od dłuższego czasu – dodał, wpatrując się we mnie.

– Nie wpędzaj mnie w poczucie winy, bo mam mdłości z powodu CIAŻY.

Wzięłam kołdrę i poduszkę i wywlekłam je za sobą z sypialni. Poszłam do salonu i położyłam się na sofie, oczekując, że on zaraz po mnie przyjdzie, przeprosi, powie, że był na mieście z jakimiś ludźmi do zamknięcia knajpy, a prysznic wzięł dlatego, że zjadł kebab i wie, że robi mi się niedobrze od samego zapachu, że po prostu o mnie

myślał i jest trochę wystraszony moją ciążą, choć oczywiście się cieszy, choć oczywiście oboje się cieszymy. I że wszystko będzie dobrze, że będziemy rodziną, przejdziemy przez to wszystko razem.

Nie wiem, z iloma osobami Espen poszedł do łóżka w czasie trwania naszego małżeństwa, ale wiem, że takie osoby istnieją. Wiem o tym, bo wie o tym Nico. Wiem o tym, bo wie o tym Anita. I wiem o tym, bo wie o tym Trond. Wiem o tym, bo żadne z nich nic mi nie mówi. Po prostu patrzą na mnie w ten szczególny sposób. W sposób „tak nam cię szkoda, bo jesteś z Espenem”.

Wiem o tym również dlatego, że znam hasło do jego komórki i sprawdzam jego wiadomości, gdy śpi. Wiem o Renate, którą spotkał na imprezie w pracy i z którą poszedł kilka razy do łóżka, aż w końcu powiedział, że nie może tego dłużej ciągnąć. Wiem o Anine, która jest barmanką w miejscu, do którego on chodził, i która kazała mu przestać pisać, chyba że postanowi odejść od żony. Wiem o Jeanette, która właściwie była z kolegą Espena i Tronda, ale z którą Espen przespał się raz po pijaku, po czym oboje ustalili, że to był błąd i nikomu o tym nie powiedzą. A potem Jeanette rozstała się z tym kolegą i wysłała Espenowi parę wiadomości, na które on nie odpowiedział. Jakże szlachetnie z jego strony. Nie chciał się wplątać w historię z byłą kolegi.

Wiem o tym wszystkim, ale nigdy go z tym faktem nie skonfrontowałam. Za pierwszym razem czułam się taka głupia, bo myślałam, że może w rzeczywistości do niczego nie doszło, może to wszystko rozgrywa się w mojej głowie, byłam w ciąży i przechodziłam burzę hormonów, było mi przykro i straciłam pewność siebie, byłam męcząca i kłótniwa, byłam wszystkim tym, czym nie powinno się być, jeśli chce się grać rolę dobrej żony.

Za każdym razem, gdy Espen pisał, że idzie na jedno piwo, i wracał dopiero po trzech godzinach.

Kiedy dziewczynie pracującej w mojej firmie krócej ode mnie zasugerowano, żeby składała podanie o wyższe stanowisko z szeregiem benefitów i wyższą pensją.

Kiedy Espen kilka lat temu stłukł butelkę w domku letniskowym, a Elise następnego ranka wlaża w szkło i trzeba ją było szyć na pogotowiu.

Kiedy zaszłam w ciążę i powiedziałam o tym Espenowi, a on się zrobił popielaty na twarzy.

Kiedy wymiotowałam codziennie przez ponad połowę ciąży. Nazwa „poranne mdłości” jest myląca i musiał na nią wpaść mężczyzna, bo torsje trwają przez cały jebany dzień.

Kiedy pewnego dnia zgubiłam w sklepie Elise, wtedy trzyletnią, i szukałam jej całe wieki, biegałam między półkami i w końcu znalazłam ją przy kasie, gdzie młody chłopak kupił jej loda i kucnął przy niej razem z pracownicą sklepu. Elise musiała wcześniej płakać, widziałam na jej policzkach ślady łez, ale na mój widok rozpromieniła się w uśmiechu i wyciągnęła loda w moją stronę, żebym go mogła spróbować.

Kiedy odeszła mama.

Kiedy umarł tata.

Kiedy siedziałam sama w moim małym mieszkaniu, słuchając przez ścianę imprezy u sąsiadów, i uświadomiłam sobie, że od ponad miesiąca nie rozmawiałam z nikim z wyjątkiem ludzi z mojej pracy.

Kiedy Elise miała grypę żołądkową, a Espen rzucił zarzyganą pościel na podłogę w łazience i jej nie uprał, tylko poprosił, żebym ja to zrobiła po powrocie z pracy. Zapach unosił się potem długo w całym mieszkaniu; nieważne, ile bym sprzątała, nadal dawało się go wyczuć. Myślę, że może to sobie wmawiałam, ale tak czy inaczej w przeciągu tygodnia trzykrotnie wyszorowałam łazienkę chlorem.

Za każdym razem, gdy Nico spoglądała na mnie nad stołem domku letniskowego tym spojrzeniem „tak mi cię szkoda”.

Za każdym razem, gdy Trond albo Anita pytali, czy potrzebuję pomocy.

Za każdym razem, gdy Espen przesypiał w nocy płacz Elise.

Za każdym razem, gdy widzę pary, które publicznie się całują albo z czegoś śmieją, albo się dotykają, gdy widzę dłonie w okolicach talii i głaskane policzki.

Za każdym razem, gdy nie mogę spać, a mój mózg zaczyna mieć fakty o wszechświecie i o tym, że mieszkamy na płonącej skale w kosmicznej przestrzeni, która jest nieskończona.

Za każdym razem, gdy w wiadomościach mówią o krachu na giełdach lub wojnie, klęsce głodu albo biedzie.

Za każdym razem, gdy myślę o guzku w piersi.

Za każdym razem, kiedy patrzę na Elise i wyobrażam ją sobie beze mnie.

Za każdym razem, gdy wspominam samą siebie jako dwunastolatkę bez mamy.

Mogłabym być sama w Grecji, pojechać na tygodniowe wakacje, przybyć do małej wioski w środku nocy, położyć się, nie rozpakowawszy walizki, i pozwolić się obudzić cykadom i słońcu, spędzać dni nad basenem z książką, jadać śniadania, lunchy i obiady wtedy, gdy chcę, i tam, gdzie chcę, nie myśleć o nikim poza sobą samą. Wieczorami mogłabym siadać na tarasie z kieliszkiem wina, mieć dla siebie tydzień, w którym nic się nie dzieje, w którym nikt niczego ode mnie nie oczekuje, w którym nie ma niczego, co trzeba posprzątać, umyć albo załatwić. Mogłabym dzwonić do domu przed obiadem, pytać Elise, co dziś robiła z tatą, ale wtedy pewnie pytałabym też, czy Espen pamiętał, żeby ją posmarować kremem z filtrem, czy pamiętał, że obiecał jej wyjście do aquaparku, i powtarzałabym, żeby nie zapomniał rozebrać jej z mokrego kostiumu, by nie dostała infekcji dróg moczowych, no i żeby koniecznie wziął po dwa ręczniki dla każdego z nich, bo jeden to za mało, na pewno się przemoczy, i żeby pamiętał, że mała nie może jeść ananasa ani kiwi, i żeby dzwonił, gdyby coś się działo. A co się mogło dziać? Wszystko, mogło stać się wszystko, a mnie by tam nie było, by móc to naprawić, móc temu zapobiec, móc wszystkiego przypilnować.

CZAS WSTAĆ

Zaczyna się robić zimno. Leżę tu już od blisko pół godziny. Opuszki palców mam pomarszczone, ubrania ciężkie. Woda w morzu ma ponad dwadzieścia stopni, mimo to marznę. Muszę popłynąć do brzegu. Muszę wrócić.

Ale boję się powrotu.

Choć przecież jestem tą, która wraca.

Nie jestem tą, która odchodzi.

Tylko tą, która zostaje.

Trudno wyjść z wody w mokrych ubraniach. Lepią się do ciała i spowalniają ruchy, gdy idę po plaży. Próbuję wyjąć rękawy, ale niewiele to pomaga, więc w końcu zdejmuję kardigan i wykręcam go w całości, a potem zarzucam go na ramiona i idę w kierunku domku letniskowego. Nikogo nie spotykam. Po deszczu jest zupełnie bezwietrznie, słońce zaczęło się przebijać przez pokrywę chmur. Idę przed siebie, ociekając wodą.

Nie mogę nikogo winić o to, że moje życie wygląda tak, jak wygląda. To szereg niefortunnych zdarzeń uczynił mnie tą, którą dziś jestem, nie wspominając już o kombinacji moich genów, mojego ciała, moich myśli i wszystkiego, czego się nauczyłam i nie nauczyłam, a co decyduje o moich reakcjach na to, co los ciska w moją stronę. Zmiana nie jest rzeczą niemożliwą, biolodzy uczą nas, że wszystkie komórki naszego ciała wymieniają się co siedem lat, więc przemiana jest czymś, co zachodzi cały czas, każdego dnia, wszędzie. Moje wspomnienia też się zmieniają, bo za każdym razem, kiedy odtwarzam jedno z nich, jest ono nieco inne, niż było ostatnim razem, gdy je przywoływałam, i jeszcze poprzednim. Nasza pamięć jest zawodna, nic nie bywa dokładnie takie, jakim to pamiętamy, żyjemy wyłącznie w danej chwili. Stoję na tarasie domku letniskowego, wciąż ociekam wodą, a Nico podchodzi do drzwi z ręcznikiem, otwiera je i podaje mi go bez słowa. Biorę od niej ręcznik i dziękuję, zarzucam go sobie na ramiona, zdjawszy najpierw mokry kardigan i T-shirt, które zostawiam na deskach tarasu.

Nico przypomina mi mamę.

Wygląd zewnętrzny to jedno. Włosy ma długie i niesforne, zupełnie jak mama. Jej fryzura jakby nie umie zachować spokoju. Ale mimo to Nico nie wydaje się niechlujna, po prostu ma takie włosy, żyjące własnym życiem. No i jeszcze śmieje się jak mama. Całym ciałem. Najczęściej wspominam mamę w chwilach radości, zupełnie jakbym zapisała w pamięci to, co najlepsze, i próbowała zapomnieć o wszystkim innym. Ale te inne wspomnienia też wypływają na powierzchnię. Mama często była smutna i nieobecna, jakby przebywała gdzieś daleko, mimo że siedziała przy kuchennym stole ze mną i z tatą. Pamiętam, że bywała smutna, paliła papierosa za papierosem i chadzała na długie spacery. Ale pamiętam także jej śmiech, w zwyczajne dni, gdy smażyła naleśniki i podrzucała je w powietrze, otrzymując za to brawa ode mnie i od taty. Pamiętam, że śmiała się z reklam w telewizji. Że czasem piła z tatą czerwone wino, gdy ja już leżałam, i że oboje się śmiali. Uwielbiałam słuchać, jak się razem śmieją. Sama od tego chichotałam i czułam się szczęśliwa. Ale przestali to robić na długo przed odejściem mamy.

Śmiech Nico jest ochryply, zupełnie jak śmiech mamy, i gdy go słyszę, przez kilka mikrosekund znów jestem mała i stoję przed nią w koszuli nocnej, uważnie jej się przyglądając.

Nico też na sto procent odeszłaby od swojej rodziny, gdyby ją miała – bo byłaby z nią nieszczęśliwa. Sama mawia, że stosuje się do zasad samolotowych – najpierw trzeba włożyć własną maskę tlenową.

Ja myślę głównie o tym, że potem należy pomóc innym.

Uważam po prostu, że rozumiemy instrukcję wkładania własnej maski w pierwszej kolejności trochę inaczej.

Stoję na tarasie w samej bieliźnie i wycieram się, a Nico mówi, że powinnam wziąć prysznic, żeby się trochę rozgrzać, na co ja kiwam głową i wchodzę do środka. Nico podnosi moje mokre ubrania, wyżyma je i wieszka na suszarce stojącej pod zadaszeniem. Przystaję na chwilę na schodach i na nią patrzę, nagle wzruszona, że po mnie sprząta. Zastanawiam się, czy robi to bez irytacji. I zastanawiam się, jakie to uczucie.

Kartka z wiadomością, którą widziała większość z nas: „Sprzątnij po sobie, twoja matka tutaj nie pracuje”.

Zawsze się wkurzam, kiedy widzę tę kartkę. Złoszczę się w imieniu wszystkich matek, które sprzątają. Złoszczę się, że sama zostałam taką matką, kimś, kto cały czas sprząta po innych, zarówno mężu, jak i córce, i że już nie mam nawet siły im tego wypominać, po prostu to robię, bo wiem, że jeśli ja to zaniedbam, nikt się tym nie zajmie.

Sprzątnij po sobie, twoja matka tutaj nie pracuje, bo praca jest czymś, za co się dostaje pieniądze, a ona głównie dostaje za to, co dla ciebie robi.

Sprzątnij po sobie, twoja matka ma już tak cholernie dość bycia zirytowaną i zmęczoną przestawianiem kubków z kuchennego blatu do zmywarki, zajmuje to tylko kilka sekund, ale w pewnym sensie to tylko zwiększa irytację, bo czemu do jasnej cholery sam tego nie zrobiłeś, skoro potrzeba na to tak mało czasu?

Sprzątnij po sobie, twoja matka ma ochotę się spakować i wyjechać od tego wszystkiego.

Sprzątnij po sobie, twoja matka potrzebuje wakacji od wakacji.

Sprzątnij po sobie, twoja matka jest wycieńczona.

Sprzątnij po sobie, twoja matka jest nieszczęśliwa.

Sprzątnij po sobie, twoja matka zasługuje na coś lepszego.

Sprzątnij po sobie, twoja matka będzie cię nienawidzić, jeśli się nie ogarniesz.

Sprzątnij po sobie, twoja matka wcale nie chciała tego powiedzieć, po prostu jest zmęczona, dorośli się czasem złością, kiedy są zmęczeni.

Sprzątnij po sobie albo poproś swojego ojca, żeby to zrobił, bo ja już nie mam siły.

Sprzątnij po sobie albo poproś swoją córkę, żeby to zrobiła, bo ja już nie mam siły.

Sprzątnij po sobie, po prostu sprzątnij, czy to, kurwa, takie trudne po sobie sprzątnąć?

Gdy wychodzę spod prysznic, rozlega się pukanie do drzwi łazienki. Nabieram powietrza i owijam się ręcznikiem, spodziewając się zobaczyć twarz Espena, ale zamiast niego w progu stoi Nico, trzyma w ręku moją komórkę i podaje mi ją, mówiąc, że ktoś dzwonił.

– Espen? – pytam niemal z nadzieją.

– Nie wiem, nie znam tego numeru. Dzwoniła ze dwa razy, odkąd wyszłaś.

Dziękuję i kładę komórkę na umywalce, wycieram się, po czym zabieram ją ze sobą do sypialni, gdzie wkładam nowe ubrania, siadam na skraju łóżka i w końcu sprawdzam nieodebrane połączenia. Numer wydaje mi się znany, ale nie mogę go skojarzyć z niczym konkretnym. Oddzwaniem, w słuchawce rozlegają się dwa dzwonki, po czym głos na drugim końcu mówi:

– Halo, z tej strony doktor Jacobsen.

Naciskam czerwoną słuchawkę.

Podłączam komórkę do ładowarki i kładę ją na stoliku nocnym ekranem do dołu, po czym wychodzę z sypialni i zamykam za sobą drzwi. Nagle słyszę swój własny głos sprzed jakiejś godziny i myślę o spojrzeniu Espena i Elise, którzy odwzajemnili mój wzrok, a także o tym, że się od nich odwróciłam i poszłam sobie. Wchodzę pośpiesznie do kuchni i pytam Nico, czy może gdzieś się wybierzemy.

– Wybierzemy?

– Tak.

– A gdzie?

– Po prostu w jakieś inne miejsce?

– Tu się nie ma za bardzo gdzie wybrać, ale jeśli chcesz, mogę cię odwiedzić do domu.

– To za daleko, chciałabym po prostu trochę pobycć gdzie indziej – odpowiadam, a ona zdejmuję rękawice do zmywania, wyciera dłonie w szorły, a potem kiwa głową i mówi, że owszem, w sumie to ma jeden pomysł.

– Powiedzieć ci, gdzie to jest, czy mam tam z tobą pojechać?

– Wszystko mi jedno – mówię, a ona się uśmiecha i rusza do auta.

Nie zabiera ze sobą niczego oprócz kluczyków, a ja po prostu za nią idę, zostawiam klucze i komórkę tam, gdzie leżały, zanim wyszłam, i gdzie będą leżały, kiedy Espen i pozostali wkrótce wrócą, by stwierdzić, że w domu nie ma ani mnie, ani Nico.

Każdego roku pakowałam nas do domku letniskowego. Pakowałam Elise, pakowałam Espena, pakowałam siebie. Zawsze pakowałam ich walizki, kupowałam wszystkie ubrania dla Elise, zdarzało mi się również kupować ubrania dla Espena, tyle tylko, że mu się nie podobały. Bo on nadal chodzi w tych samych koszulach, które nosił, gdy zaczęliśmy być razem. A od tego czasu minęła cała wieczność. Pakuję dla niego kilka nowych T-shirtów, a także tandetne koszule w jaskrawe wzory, które wydawały mi się zabawne na początku naszej znajomości. Nadruk z papugami jest teraz wyblakły, ptaki są już bardziej różowe niż czerwone. Przechodzę przez listę rzeczy do spakowania kilka razy, sprawdzam, czy o niczym nie zapomniałam. Espen gra w gry na komórce, Elise ogląda telewizję, żadne z nich nie pyta, czy potrzebuję pomocy, ale jeśli o czymś zapomnę, będą mnie pytać, czemu zapomniałam. Zawsze sprawdzam wszystkie listy po kilka razy.

Trond i Anita na pewno pakują swoje walizki, Runa też wkłada ubrania do swojej torby, a Gard siedzi i gra na komórce ojca, kiwa albo kręci głową, gdy dorośli pytają go, czy chce zabrać to czy tamto. Gdy Runa kończy się pakować, też pewnie siada w salonie z komórką i ogląda na Airbnb mieszkania w Nowym Jorku, Paryżu czy Rzymie. Lubi patrzeć na zdjęcia, nie musi się zastanawiać, czy mieszkania są drogie, czy tanie, bo po prostu je sobie przegląda. Gdyby nie musiała jechać do domku letniskowego, mogłaby się wybrać do jednego z tych mieszkań na wakacje, pobyc tam przez tydzień albo trzy, siedzieć na balkonie i podziwiać widok, organizować imprezy z mnóstwem ludzi, których by знаła albo nie znała. W następne wakacje będzie już pełnoletnia i zrobi, co jej się

będzie podobać. Pojedzie w podróż koleją po Europie albo wynajmie mieszkanie gdzieś daleko, albo będzie imprezować cały dzień na plaży, albo wybierze się do domku letniskowego z przyjaciółkami, a nie z rodziną. Wszystko jeszcze przed nią.

Nico nie jest właściwie osobą, która się pakuje, po prostu wrzuca do walizki ubrania, które lubi, wychodząc z założenia, że to wystarczy. Często słyszałam, jak powtarza wyliczankę „trzy P: pieniądze, paszport, pilet”, czyli wszystko, czego jej potrzeba w podróży. Za każdym razem szepcę w takich razach „bilet”.

A teraz wsiadamy razem do auta i nie zabrałyśmy dosłownie nic.

Nie mogę od tego wiecznie uciekać. Nie będę od tego wiecznie uciekać. Wrócę, po prostu potrzebuję przerwy.

Najpierw zrobię sobie przerwę.

A potem przeproszę.

Muszę przeprosić za wszystko, co powiedziałam.

Zamykam oczy i widzę przed sobą ich twarze. W domku letniskowym panuje cisza, właśnie przestałam krzyczeć, a oni na mnie patrzą, wszyscy na mnie patrzą. Widzę Espena, który otwiera usta, Elise spoglądającą ze strachem na swojego ojca, Tronda i Anitę, którzy wybałuszają oczy, Garda zerkającego znad komórki i otwierającego usta, unoszącą brwi Runę oraz Nico, która smaży naleśniki w kuchni; właśnie przewraca jednego z nich na patelni i nie wygląda na tak zaskoczoną jak wszyscy inni, sprawia wrażenie spokojnej, zupełnie jakby na to czekała, spodziewała się, że mi się uleje. Wyłącza kuchenkę i ostrożnie odstawia patelnię, a potem robi krok w moją stronę, ale ja już się odwróciłam i na szczęście udaje mi się otworzyć drzwi na taras za pierwszym razem. Bo one się zawsze zacinają, ale teraz stają przede mną otworem, a ja wymykam się na zewnątrz, wychodzę szybkim krokiem na podest, zeskakuję na trawę.

Może dlatego siedzę tu teraz razem z nią. Może dlatego poprosiłam ją o pomoc. Bo gdy inni zamarli, ona w ogóle nie wyglądała, jakby była zszokowana albo czuła odrazę. Patrzę na nią, gdy siedzi obok mnie w aucie. Nuci pod nosem. Nico nie daje się niczemu przytłoczyć. Wszystko potrafi załatwić. Jak ja jej za to nienawidzę.

I jak ją za to kocham od chwili, gdy wsiadłam do jej auta, pozwalając, by mnie gdzieś zawiozła. By jeszcze trochę oddalić od siebie przyszłość, która na mnie czeka.

Najpierw to.

Potem wrócę.

Zamykam oczy i opieram głowę o szybę.

Kiedyś marzyłam o ucieczce.

Potem urodziłam córkę i nie mogę już nigdy od niej odejść. Nigdy. To nie do pomyślenia.

Jeszcze przed dzieckiem zdarzało mi się w gorsze dni myśleć, że jeśli wszystko rzucę i wyjadę, to może udałoby mi się uwolnić i zacząć od nowa. Świat jest ogromny, pełen miast, ludzi i miejsc, w których nigdy nie byłam i których nigdy nie odwiedzę, ale mogłabym tam pojechać, stać się kimś innym, wypełnić moje dni rzeczami, ludźmi i zdarzeniami innymi niż wszystko to, co powtarza się w nieskończoność tu, w moim domu. Gdy mama nas zostawiła, zastanawiałam się, gdzie ona jest i czy o mnie myśli, czy wróci i mnie zabierze, żebym mogła razem z nią wyjechać jak najdalej od szarego bloku, w którym dorastałam, i od smutnej szkoły, do której chodziłam w tym małym miasteczku, które z pewnością nie miało niczego do zaproponowania dorastającym w nim ludziom. Ale mama nigdy nie wróciła. Gdy lekarka mnie pyta, czy w mojej rodzinie były przypadki raka, to nie mogę jej odpowiedzieć, bo nie wiem, czy mama nadal żyje, czy już umarła. Może ona też wymacała sobie guzek w piersi, gdy miała czterdzieści trzy lata.

Kiedyś marzyłam o ucieczce i nadal o niej marzę.

Była tam, a potem już jej nie było.

Nie umarła, po prostu odeszła. Z własnej, nieprzymuszonej woli.

Spakowała torbę, zostawiła list dla mojego ojca – którego to listu nigdy nie przeczytałam ani też nie znalazłam go, sprzątając mieszkanie po jego śmierci – a potem zamknęła drzwi na klucz i zniknęła. Nie w środku nocy, ale za dnia, gdy byliśmy w pracy i szkole, więc kiedy wróciłam do domu i mamy nie było, uznałam to za coś zwyczajnego i zachowywałam się jak zawsze; odrobiłam lekcje na podłodze przed telewizorem i zjadłam kanapki przed obiadem, choć wiedziałam, że nie będę potem miała apetytu.

To był zwyczajny dzień, wydawał się zwyczajnym dniem.

Wszystkie dni wydają się zwyczajne aż do chwili, gdy przestają się takimi wydawać.

Czy odchodząc, mama odeszła od nas czy od samej siebie?

Wyobrażałam ją sobie, myślałam, że wyjechała i jest w ciągłym ruchu, niczym kometa krążąca po wszechświecie na swojej orbicie. Zabrała ze sobą tylko małą torbę, żadnych kosmetyków ani lakierów do włosów, a ja wyobrażałam sobie, że każdego ranka pakuje tę samą małą torbę i rusza dalej, niezależnie od tego, gdzie jest i jak daleko już dotarła. Ale kometa zawsze wraca, krąży po orbicie, co oznaczało, że w pewnym momencie mama będzie znów tam, gdzie ja. Wyobrażałam sobie, że jeździ dookoła świata, zwiedza wszystkie jego zakamarki, ale pewnego dnia pojawi się znów w tym samym miejscu, w którym ja przebywam.

W końcu jednak wyprowadziłam się z domu, a gdy umarł tata, sprzedałam mieszkanie.

Czasami, nie mając na to żadnego wpływu, wyobrażam sobie, że mama okrążyła swoją orbitę i znów przybyła na nasz próg, tyle tylko, że teraz już tam nie mieszkamy. Tata nie żyje, a ja wyjechałam. Osoba, którą byłam w dniu jej odejścia, stała się kimś innym, a ona nie miała okazji zobaczyć procesu tej przemiany.

Człowiek jest wytworem swoich rodziców i wszystkiego, co się z nim dzieje w życiu.

Każdej osoby, którą spotykamy, z którą rozmawiamy i się zaprzyjaźniamy, każdego, kto staje się naszym wrogiem i kogo tracimy. Każdego, kogo odzyskujemy i kogo nigdy nie mieliśmy.

Straciłam matkę, bo ode mnie odeszła, i ojca, bo umarł. Straciłam przyjaciół i ciało, które miałam, zanim zostałam matką. Straciłam młodość i dzieciństwo, a gdzieś daleko przede mną majaczyła starość, ale potem wymacałam sobie guzek w piersi i możliwe, że ją też straciłam, zanim w ogóle nadeszła.

Kometa jest stara. To taka skała, która podróżuje w przestrzeni kosmicznej, robi to od wielu setek lat i będzie to robić przez kolejnych wiele wieków. Chyba że się o coś rozbije.

Ja natomiast przeżyłam tylko czterdzieści trzy lata, nie podróżowałam zbyt wiele, siedziałam z grubsza tam, gdzie byłam, na moim miejscu w świecie, byłam córką, żoną i mamą, zmywałam i gotowałam obiady, próbowałam trzymać się na mojej orbicie i nikomu nie zawadzać, a mimo to się rozbiłam. Chciałabym tylko wiedzieć o co. Na pewno nie o ścianę, w ogóle nie czuję się postawiona pod ścianą ani wypalona, mam zresztą niewiele sympatii wobec ludzi, którzy mówią, że są wypaleni, bo wszyscy, których znam i którzy to twierdzą, mają lepsze życie niż ja. Nie jesteś wypalony, po prostu masz kaca, bo byłeś wczoraj na mieście, a byłeś na mieście dlatego, że nie masz dzieci. Nie jesteś wypalona, byłaś na obozie treningowym organizowanym przez jakąś influencerkę, przeforsowałaś się i nabawiłaś rhabdomyolizy. Nie jesteś wypalony, po prostu nie umiesz odmawiać ludziom. Ja cały czas odmawiam, rezygnuję z zabawy, bo jestem osobą odpowiedzialną. A jeśli odmawia się dość często, ludzie przestają cokolwiek proponować. Ot, proszę, tu masz rozwiązanie problemu.

Nie, nie jestem wypalona, jestem po prostu zmęczona, a to nie to samo. Nie chodzi też o zmęczenie fizyczne, jestem po prostu zmęczona samą sobą, tym, kim jestem i kim się stałam, jak również faktem, że może już nigdy nie stanę się kimś więcej.

Kometa pędzi przez kosmiczną przestrzeń do chwili, gdy się o coś rozbije, a w moim ciele siedzi guzek i nie wiem, czym on właściwie jest, drzemie sobie we mnie zupełnie spokojnie, chyba że się zdążył

przerzucić, potworzyć nowe guzki, które wyrosły na moich komórkach, by zniszczyć mnie od środka.

Zawsze marzyłam o tym, by się porządnie zestarzeć. Gdy byłam młodsza, nie rozumiałam, czemu starsze kobiety tak się skarżą na przemijającą urodę, myślałam, że powinny się raczej cieszyć, bo nadal żyją.

Ale jeszcze zanim wymacałam guzek, stałam się jedną z nich. Wieczorami w łazience patrzyłam na swoją twarz, której nie rozpoznawałam. Wpatrywałam się w linie na skórze, obwisłą szyję, jeszcze bardziej obwisłe piersi, w brzuch, który który cały życie wciągałam, a którego nie dało się już wciągnąć i który zwisał nad gumką od majtek. Nigdy jakoś specjalnie nie kochałam swojego ciała, ale doceniałam fakt jego istnienia, cieszyłam się, że jest zdrowe i że mogę używać ramion, by sadzać sobie córkę na barana i przynosić torby z zakupami ze sklepu, ceniłam fakt, że mam nogi, na których idę przez świat i mogę podbiegać rano do autobusu. A potem, pewnego wieczora, gdy stałam przed lustrem, a Espen oglądał w salonie telewizję, znalazłam guzek. Zaczęłam go szukać też po drugiej stronie, myśląc, że jeśli to struktura symetryczna, to z pewnością nie może być groźna, nie dostaje się przecież raka w tym samym miejscu po obu stronach ciała, ale nie znalazłam niczego, tylko moją pierś, tkankę tłuszczową, skórę.

Zrobiło mi się w środku zupełnie zimno. Miałam się właściwie położyć, powiedziałam już Espenowi dobranoc, ale jak niby miałabym zasnąć po czymś takim? Chciałam natychmiast podjąć jakieś działania i usunąć guzek, wyciąć go sobie nożem kuchennym. Chciałam się umówić do lekarza na następny dzień, usłyszeć, że nie ma się czym przejmować. Tymczasem lekarka zmarszczyła brwi, gdy usiadłam przed nią trzy dni później. Pomacała guzek kilka razy,

jej dłonie w gumowych rękawiczkach błędziły po moim ciele, dostałam gęziej skórki, bo gdy rozebrałam się od pasa w górę, w gabinecie zapanował nagły chłód.

– Czuje go pani? – spytałam.

– Tak – odpowiedziała lekarka i ścisnęła mnie dalej.

– Co teraz zrobimy? – chciałam wiedzieć.

– Skieruję panią na badanie USG – odparła i długo stuknęła w klawiaturę komputera, a ja się w tym czasie ubierałam.

Czas oczekiwania wynosił minimum cztery tygodnie, maj przeszedł w czerwiec i w końcu leżałam na stole z żelem na piersi, a inna lekarka patrzyła w skupieniu na ekran, przyciskając głowicę do mojego ciała. Ona też zmarszczyła brwi i nie znalazłam żadnej pociechy w jej zapowiedzi, że zaraz zrobimy biopsję. Wbito we mnie długą igłę i powiedziano, że ktoś do mnie zadzwoni, gdy tylko przyjdą wyniki. Było to zaraz przed tym, jak przyjechaliśmy tu na wakacje. Najpierw biopsja, potem letni wyjazd.

Ale guzek w piersi nie robi sobie wolnego.

Kometa też nie.

Nie chciałam jechać na tę wycieczkę. W ogóle nigdy nie chciałam tu przyjeżdżać. Za każdym razem, gdy się pakujemy do domku letniskowego, przypominam sobie, jak byłam nastolatką, a tata zechciał, żebym z nim pojechała za miasto, bardzo się postarał, spakował dla mnie torbę, wynajął auto i tak dalej, ale ostatnią rzeczą na tym świecie, której pragnęła piętnastoletnia ja, było jechać gdzieś głęboko w las, do chaty bez bieżącej wody, z tatą w charakterze jedyne go towarzystwa. Możemy wędkować, powiedział tata, możemy czytać książki, oglądać wieczorami telewizję, bo w wynajętej przez niego chacie był telewizor, a ja usiadłam na miejscu obok kierowcy i przez całą drogę wyglądałam przez okno ze skwaszoną miną. Po kilku godzinach podróży tata zjechał z autostrady i nagle byliśmy na osiedlu wielkich, pięknych domów. Wyprostowałam się na siedzeniu i zerkałam ciekawie na mijane zabudowania. Może nie będzie aż tak źle, pomyślałam, bo to są chyba porządne domy, mogłam mieszkać w porządnym domu, bo wcześniej w ogóle w żadnym nie mieszkałam, urodziłam się i wychowałam w bloku. Te domy były pomalowane na jasne kolory, a każdy ogród miał żywopłot. Nie widziałam żadnych ludzi, ale musiał tu mieszkać co najmniej jeden fajny chłopak, minęliśmy już pewnie z piętnaście działek.

A potem tata zatrzymał auto przed czymś, co przypominało walącą się szopę na końcu ulicy.

To tam mieliśmy mieszkać.

Chata nie była pomalowana, wielkością przypominała garaż i nie miała ogrodu, bo leżała częściowo w lesie, jakby inni mieszkający tu

ludzie mieli nadzieję, że zostanie w końcu pożarta przez roślinność i zupełnie zniknie.

– Żartujesz sobie? – zapytałam, gdy tata zgasił silnik.

– W środku jest na pewno fajnie, przytulnie – usłyszałam w odpowiedzi.

Chata była tak mała i krzywa, że nie zdziwiłabym się, gdyby runęła od trzaśnięcia drzwi auta. Tata wypakował nasze torby i w końcu, po wielu próbach, otworzył drzwi, które przeraźliwie zaskrzypiały. W środku było pełno kurzu i tata powiedział, że nie powinniśmy zdejmować butów, zanim trochę nie posprzątamy. Gdzieś na podłodze leżały też trociny, a ja zapytałam, czy są tu myszy albo szczury.

– Może – oparł tata. – Ale to nie szkodzi, spędzimy tu tylko tydzień, na pewno nie będą nam przeszkadzały.

Stała tam niewielka lodówka, do której mogliśmy zapakować nasze jedzenie, Kuchenka, wersalka, piętrowe łóżko w osobnym małym pokoiku oraz kominek. Wychodek postawiono za chatą, trzeba było wejść trochę głębiej w las, był również taras albo coś, co kiedyś było tarasem i zmieniło się w podest ze zbutwiałych desek, jak również ogromny kanister z wodą, w której, zdaniem taty, mogliśmy się myć. Woda śmierdziała rybą, a ja powiedziałam, że nie, dzięki, zabrałam ze sobą mokre chusteczki.

Pierwszego wieczora zjedliśmy na kolację gulasz, a tata powiedział, że może spać na wersalce, żebym miała własny pokój. Rozłożyłam swój śpiwór na górnym łóżku i się na nie wdrapałam. W chacie był komar, którego nie udało mi się zabić, i nie mogłam zasnąć, bo bzyczał mi koło ucha. Obudziłam się wcześniej, schowana głęboko w śpiworze z otworem zaciśniętym sznurkiem. Wygrzebałam się ze śpiwora i zeskoczyłam z łóżka, włożyłam trampki i wyszłam do taty, który już nie spał i siedział na wersalce.

- Dobrze ci minęła noc? – zapytał.
- Nie – odparłam.
- Możemy zjeść śniadanie, a potem pójść na ryby.

Mieliśmy tam spędzić tydzień, ale po czterech dniach oboje mieliśmy dość. Tata był rozczarowany, że chata nie była tym idyllicznym miejscem, które sobie wymarzył, a ja w ogóle się złościłam, że jesteśmy tutaj, a nie w domu, gdzie mogłabym spędzać czas z ludźmi w moim wieku i może poznać kogoś, kto odmieniłby moje życie, bo wszystkie filmy nas uczą, że to właśnie może się zdarzyć, gdy jest się nastolatką, przychodzi lato i ciepłe dni i ma się całe życie przed sobą.

Gdy teraz wracam myślami do tego nieudanego wyjazdu, w mojej głowie odzywa się głos, który prosi, żebym spojrzała na tamten czas świeżym okiem, poszukała w nim czegoś pięknego. Owszem, byłam zła i rozczarowana, chadzałam na długie spacerunki po okolicy, słuchałam muzyki i patrzyłam na inne domy, wstępowałam na stację benzynową, gdzie kupowałam napoje gazowane i słodyczne za pieniądze od taty i gdzie przesiadywały inne nastolatki, zupełnie niezwracające na mnie uwagi, a gdyby moje życie było filmem, to byłabym świeżo po prysznicu, piękniejsza niż w rzeczywistości i pogadałabym z nimi albo to oni pogadaliby ze mną, a potem może ktoś zaproponowałby mi przejażdżkę autem i ruszylibyśmy przed siebie drogą, ja i jakiś przystojny osiemnastolatek o imieniu Ola albo Jesper, który miałby na głowie czapkę z daszkiem i pachniałby męskimi perfumami. Ale nic takiego się nie działo, po prostu brałam swój napój i słodyczne i wracałam do chaty. W chacie czekał tata, który pewnego wieczora powiedział, że powinniśmy pójść nad jezioro i rozpaść ognisko, a potem się wykąpać, bo jest duszno, chodzimy spoceni i żadne z nas nie myje się w śmierdzącej rybą wodzie z kanistra na tarasie, a ja się wkurzyłam, ale z nim poszłam,

a gdy siedzieliśmy przy ognisku, świeżo wykąpani w jeziorze, w którym nie złowiliśmy żadnej ryby w trakcie naszych ciągnących się w nieskończoność wypraw, zrobiło się nagle ciemno i na niebie zaświeciły gwiazdy. Tata zapytał mnie, jak się czuję, czy się cieszę na pierwszą klasę liceum, czy może się stresuję. Opowiedział mi o swoich doświadczeniach ze szkoły, śmiał się, przedrzeźniając niektórych nauczycieli, a ja pamiętam, że zjadłam kielbasę upieczoną na ognisku i pomyślałam, że to jedna z pyszniejszych rzeczy, których w życiu próbowałam, miałam sałatkę ziemniaczaną w kąciку ust i włosy pachnące wodą z jeziora. Jeszcze długo siedzieliśmy przy ogniu, a gdy wróciliśmy do chaty, natychmiast zasnęłam.

Następnego dnia tata powiedział, że możemy wracać do domu; ujął to tak: „Jak chcesz, to możemy pojechać”. Nie stwierdził, że musimy, pozwolił mi podjąć decyzję, a ja natychmiast zaczęłam pakować rzeczy i już niecałą godzinę później siedzieliśmy w aucie. Czulałam ulgę, śpiewałam do piosenek płynących z radia, tata też śpiewał i dopiero teraz, gdy wspominam to jako dorosła, dociera do mnie, że on tak naprawdę nie chciał wracać do domu i miał nadzieję przekonać mnie tym wieczorem przy ognisku, że ten wyjazd może być fajny. I że tak naprawdę nie był rozczarowany chatą, ale mną i moim niezadowoleniem ze wspólnego spędzania czasu.

Przez tę niewielką resztkę lata, która została nam po powrocie do domu, nie wydarzyło się już nic ciekawego, ale miałam przynajmniej bieżącą wodę i mogłam wałęsać się ulicami, słuchając muzyki i szukając kogoś, kto odmieni moje życie. Ulice jednak były te same co zawsze i nic się nie odmieniło.

Nikt mnie teraz nie pyta, czy chcę wracać do domu. Spędzamy tu wakacje od dziesięciu lat, Elise tu dorastała, to stały punkt w jej życiu. Espen może pobycć ze swoimi przyjaciółmi przez dwa tygodnie, a Nico ma towarzystwo w domku letniskowym, który jest za duży dla niej samej i za mały dla naszych trzech rodzin, choć tak naprawdę jesteśmy dwoma rodzinami z dziećmi.

– Nie sądzę, by istniał dom dość duży dla Nico i dla mnie.

– A teraz siedzimy razem w jej aucie, a ja nie wiem, dokąd się wybieramy.

Jedziemy dłużej, niż się spodziewałam. Domek letniskowy leży pod miasteczkiem, które czasami odwiedzamy, ale poza tym w czasie ostatnich wyjazdów nie urządzaliśmy sobie żadnych wycieczek, poruszaliśmy się między plażą, miasteczkiem, po piętrach domku, dookoła siebie, a potem w końcu pakowaliśmy się do aut i wracaliśmy do domu. Nico stała przed domem i machała na pożegnanie, a my ruszaliśmy w długą drogę; często nie robiliśmy postojów, mimo że podróż zajmuje co najmniej pięć godzin. A teraz Nico jedzie już pół godziny bez przerwy i nie mam pojęcia, dokąd chce mnie zabrać.

– Stresujesz się? – pyta nagle.

Patrzę na nią, kładę dłonie na kolanach. Skubałam skórki przy paznokciach, ta na palcu wskazującym zaczęła krwawić. Chowam ręce między udami, żeby ona tego nie zobaczyła, krwawienie i tak przecież zaraz ustanie.

– Gdzie mnie zabierasz?

– Już niedaleko – rzuca Nico, nie odpowiadając na moje pytanie.

Zawsze tak robi, jest niekonkretna i irytująca, zupełnie jakby wszyscy ludzie na świecie lubili tajemnice. A ja ich nienawidzę. Chciałabym wiedzieć, co inni cały czas myślą i czują.

Ale gdy tylko formułuję w głowie tę myśl, natychmiast zmieniam zdanie.

– Dlaczego jesteś taka miła? – pytam Nico po kilku kolejnych minutach jazdy.

– A czemu nie miałabym być?

– Czy to nie Espen jest twoim przyjacielem?

Nico wykrzywia twarz w grymasie, a potem przez chwilę ma minę, jakby się zastanawiała.

– Czyli nie mogę być przyjaciółką Espena, bo dobrze się odnoszę do ciebie? Jedno wyklucza drugie?

– Ale nie powinnaś zamiast tego kazać mi się ogarnąć? I wziąć go w obronę? Powiedzieć, że on się stara jak może i tak dalej?

– Chcesz, żebym kazała ci się ogarnąć, wzięła go w obronę i mówiła, że on się stara jak może i tak dalej? A może powinnam, jako jego przyjaciółka, kazać ogarnąć się jemu?

Zaskoczona wybucham śmiechem.

– Chciałabyś to zrobić?

– Może już to zrobiłam? – mówi Nico.

– Ale on się nie ogarnął – stwierdzam.

– Ludzie nie zawsze słuchają swoich przyjaciół.

A potem Nico wrzuca kierunkowskaz i skręca w boczną dróżkę.

CO BY POWIEDZIAŁ ESPEN

Po prostu wyszłaś.

Zupełnie straciłaś nad sobą panowanie, przy wszystkich, i po prostu sobie poszłaś.

Gdy trzasnęły drzwi, siedzieliśmy w zupełnej ciszy, aż Elise spytała, czy wobec tego nie jedziesz z nami do sklepu, a Nico, która stała w kuchni i smażyła naleśniki, oświadczyła, że śniadanie jest gotowe i wszyscy mają coś zjeść. Elise usiadła jej na kolanach. Trond i Anita spojrzeli na mnie wzrokiem pełnym współczucia, zupełnie jakby sami nigdy wcześniej się nie wkurzyli. Trond też kiedyś stracił nad sobą panowanie, walnął dłonią w stół i kazał nam się zamknąć. Ale wtedy nie było z nami dzieci. Gard i Elise jedzą naleśniki i mają całe buzie umazane jagodami. Są tacy mali. Tak bardzo urosli, ale nadal są tacy mali.

Ciebie też nie zawsze łatwo lubić. Nie ułatwiasz tego ludziom. Wchodzisz w każdą nową sytuację z oczekiwaniem, że coś pójdzie nie tak. Pamiętam, że gdy pierwszy raz spotkałaś moich przyjaciół, powiedziałaś, że na pewno cię nie polubią. Nie że się boisz, że cię nie polubią, po prostu stwierdziłaś: „Nie polubią mnie”. I tyle. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem, zajęło mi to wiele lat, zanim zacząłem się nad tym zastanawiać, zauważać, że stawiasz czoło każdemu dniowi i każdej sytuacji z oczekiwaniem, że coś pójdzie nie tak, że stanie się wszystko, czego się obawiasz. Nikt cię nie lubi, nie dostaniesz pracy, o którą się ubiegasz, nie masz w życiu żadnego wyboru, nie ma sensu próbować czegokolwiek zmieniać, bo wszystko i tak się źle skończy, jeśli nie zawali się jedno, to na pewno drugie, świat jest pełen idiotów, a żaden z nich nie jest większym idiotą niż ja.

A ty, owszem, też jesteś jednym z nich.

Pewnego razu cię wypunktowałem. Miałem już dość i odpowiedziałem, zamiast po prostu ci przytaknąć albo udać, że nie słyszałem. Rzuciłem: „Jeśli się będziesz tak zachowywać, to faktycznie nikt cię nie polubi”. Chwilę milczałaś, a potem oświadczyłaś, że i tak nie chcesz wychodzić z domu, bo się źle czujesz. Poszedłem na imprezę bez ciebie. Elise była mała i zorganizowaliśmy dla niej opiekunkę, ale zadzwoniłaś do niej i wszystko odwołałaś, gdy stałem w korytarzu, zastanawiając się, co powinienem zrobić, jaka będzie właściwa decyzja. Pójść bez ciebie? Zostać w domu?

Jadąc na imprezę taksówką – bo zastanawiałem się za długo i nie zdążyłem na metro – odbyłem z tobą w myślach długą kłótnię. Mam już dość tego, jak negatywnie się do wszystkiego nastawiasz, powiedziałem, nic dziwnego, że cały czas jesteś przybita, skoro non stop uprzykrzasz sobie życie dołączającymi myślami. Bo mamy tu do czynienia z logicznym powiązaniem, wrzasnąłem. Negatywne myśli rodzą inne negatywne myśli i wszystko idzie się pieprzyć, co rodzi kolejne negatywne myśli. Wszyscy to wiedzą, ludzie nawet piszą na ten temat książki.

Zawsze nazywano mnie promyczkiem szczęścia, a ożeniłem się z chmurą gradową.

Próbuję sobie przypomnieć, czy ty w ogóle byłaś kiedyś radosna. Cieszyłaś się, gdy urodziłaś Elise? Chyba musiałaś. Ale byłaś też przerażona. Wszystko wydawało się groźne, guma w smoczkach była trująca, jedzenie pełne szkodliwych konserwantów, nie chciałaś korzystać z pomocy opiekunek, ale nie życzyłaś sobie również, bym ja się nią zajmował, bo wszystko robiłem nie tak, źle prałem śliniaczki, źle wyrzucałem pieluchy i źle zmywałem. Więc znów zacząłem wychodzić na miasto z Trondem, Anitą i Nico, parę razy

zostawiłem cię na wieczór samą w domu, myślałem sobie, że dobrze ci to zrobi. Elise była taka malutka, a ty tak mnie od siebie odpychałaś, leżałyście w łóżku w sypialni w takim jakby kokonie, w którym nie było dla mnie miejsca. Nie mogłem się doczekać, aż Elise podrośnie i będziemy mogli razem jeździć na basen. Miałem ją nauczyć pływać, mówiłem o tym, gdy jeszcze była w twoim brzuchu i wyczyniała tam harce. Była to jedna z niewielu rzeczy, które mogłem zrobić, nauczyć ją pływać, tak porządnie. Ostatnią rzeczą, którą powiedziałaś, zanim pojechaliśmy pierwszy raz na basen, było, żebym nie pozwolił się jej utopić.

Mogłaś powiedzieć, żebyśmy się dobrze bawili.

Mogłaś powiedzieć, że masz ochotę wybrać się z nami.

Mogłabyś potem wypić z nami kakao w kawiarni, bo i tak musieliśmy zaczekać, aż Elise wyschną włosy, dopiero wtedy mogliśmy wrócić do domu.

Tak wiele rzeczy mogło być inaczej.

Elise doskonale sobie radziła, już od samego początku. W ogóle niczego się nie boi. Wskakuje do basenu niemal bez zastanowienia, chlapie w najlepsze, woda wlewa się jej do nosa i oczu, a ona prycha, dyszy i nie przestaje się śmiać. Nie ma tego po mnie, a już na pewno nie po tobie. Jest zupełnie osobnym, wyjątkowym człowiekiem.

Gdy poszła do szkoły, bałaś się, że nie znajdzie sobie przyjaciół, potrafiłaś jej mówić, że ma do nas przyjść, jeśli ktoś będzie dla niej niedobry i tak dalej, a ja zapytałem cię o to wieczorem, wydusiłem z siebie, że może niepotrzebnie straszysz dziecko, może wszystko pójdzie dobrze, może Elise zaprzyjaźni się z całą klasą już pierwszego dnia, kto wie? Zezłościłaś się, bo twoim zdaniem nie traktowałem niczego poważnie.

Nico powiedziała kiedyś, jak byliśmy razem na piwie, że może jesteś taka, bo się boisz rozczarowania.

Co chcesz przez to powiedzieć?, spytałem.

Jeśli Britt zawsze oczekuje najgorszego, to nie da się jej rozczarować, oświadczyła Nico i upiła łyk piwa, rozglądając się za Trondem i Anitą, którzy mieli do nas dołączyć.

W życiu nie słyszałem większej głupoty, odparłem.

A Nico tylko wzruszyła ramionami.

Raz się na mnie zezłościłaś, bo spytałem, czemu Elise jest smutna. Siedziała, pochlipując, w salonie, a ja poszedłem ją pocieszyć. Nie stało się nic poważnego, nie pamiętam, nawet, o co chodziło, chyba o Barbie albo coś w tym guście, lalka miała nie tę sukienkę albo buty, ale ty się potem naprawdę zezłościłaś, milczałaś przy kolacji, przez cały wieczór, a potem, jak się położyliśmy, oświadczyłaś skwaszona, że nigdy nie pytam o to, czemu ty jesteś smutna.

A jesteś?, zapytałem, szczerze zaskoczony.

Na co ty poszłaś się położyć na kanapie.

Często o tym myślę. Nie mam pojęcia, co zrobiłem nie tak. Jesteś wściekła, widzę to przecież, wszyscy to widzą, wściekłość tak jakby wycieka przez pory twojego ciała, cały czas marszczysz nos, jakbyś czuła zapach zgnilizny, i masz chronicznie skwaszoną minę. Jesteś wściekła, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że się smucisz.

Kiedy widzę smutnych ludzi, ogarnia mnie potrzeba, by ich pocieszyć.

Kiedy widzę ciebie, ogarnia mnie potrzeba, by się wynieść do innego kraju.

Z tobą chyba musi być coś nie w porządku, skoro cały czas się tak wściekasz. Ale nie pojmuję, o co może chodzić. Poza tym, że o wszystko. I że niewiele da się z tym zrobić.

To ty wybrałaś mnie, pamiętasz? Podeszłaś do mnie w barze i poprosiłaś, żebym postawił ci piwo, chwyciłaś mnie za ramię i jakby już nie puściłaś. Poszłaś ze mną do domu, zjadłaś ze mną

śniadanie, poznałaś moich przyjaciół, zostaliśmy parą i było nam dobrze, z początku w ogóle się na mnie nie wściekałaś, ciągle tylko się śmialiśmy i wygłupialiśmy. A potem się oświadczyłem, wzięliśmy ślub i urodziła się nam Elise, a ty jakby zaczęłaś oczekiwać, że będę kimś innym, niż byłem, gdy mnie poznałaś, jakbyśmy się umówili, że najpierw będę zabawny i cię porozśmieszam, a potem stanę się poważny i dorosły, ot tak, w przeciągu jednej nocy.

Rozumiem oczywiście, że chcesz, żebym był lepszym ojcem i mężem, ale właściwie nie rozumiem dlaczego. Oświadczyłem ci się, gdy zmywaliśmy naczynia w zwyczajny wtorek, bo lubiłem z tobą zmywać, podobało mi się, że ty myjesz talerze, a ja je wycieram, że się ze mnie śmiejesz, choć tak naprawdę jesteś poirytowana, podobało mi się, że rankami kręcisz się po domu, zanim ja wstanę, i lubiłem łaskotać cię po plecach, gdy zasypiałaś na kanapie przede mną. Było nam dobrze. Nie oświadczyłem się na romantycznej kolacji w eleganckim lokalu, ale w domu, w naszej kuchni, a ty powiedziałaś tak. Powiedziałaś tak tamtego dnia i w dniu naszego ślubu, powiedziałaś tak, gdy zaproponowałem, żeby Elise miała na imię Elise, i gdy spytałem, czy cieszysz się na kolejny letni wyjazd, a także kiedy chciałem wiedzieć, czy pamiętałaś, by spakować moją ładowarkę do komórki, i gdy zapytałem, czy znalazłaś strój kąpielowy Elise, powiedziałaś tak, gdy chciałem wiedzieć, czy jesteś zmęczona, ale przytaknęłaś też na moje pytanie, czy chcesz być sama, więc wyszedłem i zostawiłem cię w sypialni, zrobiłem po prostu to, co mi zasugerowałaś.

Myślałem, że było nam kiedyś dobrze.

Mnie było kiedyś dobrze.

Nie wiem, czy tobie było kiedyś dobrze.

Próbuję sobie przypomnieć, jak brzmi twój śmiech, ale słyszę w głowie tylko śmiech Elise. Może jest podobny do twojego.

MY POJECHAŁYŚMY, A ONI WRACAJĄ

Trond wrzuca kierunkowskaz przed domkiem letniskowym i parkuje. Runa odpina pas, jeszcze zanim on zgasi silnik, wyskakuje z auta i idzie do środka, nie proponując nawet, że pomoże nosić torby. Byli na zakupach, a dzieci dostały niemal wszystko to, na co miały ochotę. Trond pomaga Espenowi wypiąć maluchy z fotelików z tyłu, a potem otwiera bagażnik i wyjmuje cztery torby. Espen idzie w stronę domu z pustymi rękoma, a potem przystaje i czeka na Tronda, jakby drzwi były zamknięte, a on miał przy sobie klucz, mimo że przecież Runa przed chwilą weszła do środka.

– Drzwi są otwarte – mówi Trond, wskazując je skinieniem głowy, nadal z torbami w rękach.

Espen otwiera i wchodzi, ale przystaje zaraz za progiem. Gard pyta, czy może dostać komórkę, żeby trochę sobie pograć, a Elise pyta, czy może dostać jogurt.

– Tak, tylko wniesiemy zakupy do kuchni, a potem będziecie mogli robić prawie wszystko, co chcecie. Pomożesz trochę, Espen? – pyta Trond, który postawił torby na kuchennej podłodze i znów idzie do auta, mijając Espena stojącego w drzwiach sypialni i patrzącego na komórkę.

Espen chowa telefon do kieszeni i też wychodzi; nosi torby bez słowa.

– Możesz to wziąć? – pyta Trond, gdy robią ostatnią rundkę.

Espen bierze torbę, a Trond zgrzewkę piwa, po czym opuszcza klapę bagażnika łokciem i czeka, aż się zatrzaśnie. Espen znów sprawdza komórkę, po czym idzie za Trondem do domu.

Trond woła Runę, która siedzi w piwnicy.

– Możesz nam pomóc rozpakowywać?

– Nie – rozlega się odpowiedź, po czym obaj słyszą, jak dziewczyna wchodzi na górę. Rusza do kuchni i zaczyna wyjmować rzeczy z toreb razem z ojcem. Espen bierze jogurt, który podaje mu Trond, a Elise oświadcza, że chciałaby ten drugi.

– Truskawkowy – precyzuje, więc Trond wyjmuje kubeczek z dłoni Espena i wtyka w nią drugi jogurt, ten z truskawkami, po czym wkłada ostatnie produkty do lodówki, która i tak była już dość przepełniona. Zrobili za duże zakupy.

– Gdzie jest mama? – pyta Runa, gdy Trondowi udaje się z grubsza ogarnąć kuchnię.

– Poszła pobiegać, na pewno niedługo wróci.

W tej samej chwili na podeście za drzwiami rozlegają się kroki.

– Cześć – odzywa się Anita, wchodząc przez drzwi od tarasu; jest spocona i zdyszana.

– Mogę wrócić na dół? – pyta Runa.

Trond gładzi ją po ramieniu, ale ona od niego odskakuje, ledwie zerka na matkę, po czym zbiega po schodach do swojego pokoju. Anita zagląda do domku, gdzie Gard siedzi na podłodze oparty plecami o kanapę i gra na komórcie ojca, Elise je jogurt, którym zdążyła już usmarować sobie włosy, a Espen siedzi na kanapie nad dziećmi i gapi się przed siebie. Trond, który nadal stoi w kuchni, odwzajemnia jej spojrzenie i wzrusza ramionami.

– Gdzie jest Nico?

– Nie wiem – odpowiada Trond.

– A Britt?

– Nie wiem.

– No dobra – rzuca Anita i zaczyna się rozciągać. – Niedługo trzeba będzie przygotować lunch, prawda? Mogę wziąć prysznic, a potem zrobić sałatkę i tosty z serem. Kupiliście wszystko, co trzeba?

– Tak – śmieje się Trond, Anita zaś odpowiada mu niepewnym uśmiechem.

– Aż za dużo – precyzuje Trond.

– No to trzeba zacząć jeść.

Anita robi lunch dla wszystkich, dzieci nie chcą jeść przy stole, więc Gard i Elise wychodzą do ogrodu, gdzie on dalej gra na komórce, a ona mu się przygląda. Gard ma tłuste palce od tostów z serem, ale Trond przywykł do wycierania telefonu po dziecięcych rączkach. Runa siedzi z dorosłymi przy długim stole w domu. Martwi ją puste krzesło Nico u szczytu stołu i wolne miejsce Britt obok Espena, ale dorośli nie komentują tego ani słowem. Jedzą w milczeniu, po czym Runa odnosi swój talerz i szklankę i schodzi do piwnicy.

Po lunchu Espen i Trond siedzą bez słowa i wyglądają przez okna, Anita sprząta ze stołu. Gdy w końcu siada, zauważa, że Gard i Elise też skończyli, więc znów się podnosi, by wziąć od nich talerze. Przynosi je do kuchni i najpierw sobie myśli, że zostawi zmywanie na później, ale zaraz stwierdza, że jeśli zabierze się do pracy teraz, to pójdzie jej szybciej, bo nie ma sensu czekać do obiadu, więc odkręca kran i włącza radio, zmywa sprawnymi ruchami, nucąc pod nosem.

Espen przygląda się Elise, która sprawia wrażenie, jakby się nudziła. Gard nadal gra na komórce. Czyżby Trondowi nigdy nie wyczerpywała się bateria? Elise w końcu wstaje i wchodzi do dorosłych, wspina się na kolana Espena, a on ją pyta, czy chce iść na plażę. Mała przytakuje. Anita i Trond też kiwają głowami i zaczynają się pakować, krzyczą do Runy, że idą nad wodę, może by się z nimi wybrała? Dziewczyna nie odpowiada, ale kwadrans później cała trójka jest już gotowa do wyjścia. Gard musi oddać komórkę, a potem wszyscy maszerują w zorganizowanej grupce przez ogród,

wychodzą na drogę i ruszają ku plaży, tą samą trasą, którą kilka godzin wcześniej pokonałam ja, samotna i wciekła.

Oni sobie idą na plażę, a w tym samym czasie Nico i ja kupujemy lunch. Nico obiera krewetki w błyskawicznym tempie, proponuje, że obierze też kilka moich. Najpierw odmawiam, ale potem podsuwam jej talerz pod nos i pozwalam, by przejęła kontrolę. Nico przygotowuje mi kanapkę z krewetkami, a ja się w tym czasie rozpieram na krześle, patrząc, jak ona robi coś dla mnie. Nie przywykłam, by ktoś coś dla mnie robił.

Bycie czyimś rodzicem polega z grubsza na udawaniu, że wszystko idzie dobrze. Że nie ma się czego bać. To właśnie robię dla Elise. Ale czy ona to rozumie? Czy może już dawno mnie zdemaskowała? Bo ja przecież rozumiałam, że mama się smuci. I że gdy budziły mnie krzyki rodziców, to oni wcale ze sobą nie dyskutowali, tylko się kłócili. Zastanawiam się, jak by wyglądało moje życie, gdyby mama kiedyś powiedziała: „Nie jest mi teraz za dobrze”.

Bo teraz nie jest mi wcale za dobrze i nie umiem sobie wyobrazić, że mogłabym o tym powiedzieć Espenowi czy Elise. A właściwie to nie wyobrażam sobie, że mogłabym o tym powiedzieć komukolwiek. Bo nie wiem, jak miałabym to ubrać w słowa.

Nienawidzę mojego życia, może to byłby jakiś początek? Ale jak przejść od tego gdzieś dalej?

I jak miałabym to powiedzieć, żeby Elise nie pomyślała, że to jej wina?

Bo to nigdy nie była jej wina.

Kocham moją córkę, ale mam poczucie, że odkąd ją urodziłam, nigdy nie jestem sama.

Kocham moją córkę, ale wydawało mi się, że będzie inaczej.

Kocham moją córkę, ale o rany, jak ona wrzeszczała. Zupełnie jakby nie miała nigdy przestać. Teraz już przestała, ale gdzieś w moim wnętrzu nadal słyszę te wrzaski, jakby odcisnęły we mnie wieczne piętno.

Kocham moją córkę, ale nie wiem, czy ona też mnie kocha, czy po prostu jest ode mnie zależna.

Kocham moją córkę, ale jestem non stop wykończona.

Kocham moją córkę i ciągle mi mówiono, że z czasem będzie lepiej, ale czas mija nieubłaganie, a ja nadal czekam.

Kocham moją córkę, ale czasami się boję, że odziedziczyła po mnie tylko wady – a są i takie dni, że się zastanawiam, czy w ogóle mam jakieś zalety, które można by po mnie odziedziczyć.

Kocham moją córkę, ale nie wiem, czy kocham mojego męża.

Kocham moją córkę i to nigdy nie przeminie, ale jakaś część mnie się boi, że może to jednak nieprawda.

Elise ma siedem lat, osiągnie dorosłość w gównianym świecie, który będzie się tylko pogarszał z każdym dniem. Ale na razie wie dzie życie w warunkach lepszych niż większość innych osób, które dorosną w ciągu najbliższych dziesięciu lat. W tym właśnie momencie jest przeważnie radosna i chce, żeby tak zostało. Tak długo, jak się tylko da. Pragnę, by była beztroska i bezpieczna, chce ją rozpieszczać, dawać jej wszystko, czego potrzebuje, i jeszcze więcej, chce, żeby dorosła, nie słysząc cały czas z tyłu głowy mojego głosu, żeby słuchała samej siebie i robiła wszystko, czego sama pragnie. Chce, żeby czuła to, co czuje, i się nie bała. Chce, żeby dorosła i była sobą, cokolwiek to właściwie znaczy.

Gdy byłam nastolatką, spędzałam dużo czasu, przesiadując w swoim pokoju i rozmyślając o zagładzie świata. Co bym zrobiła, gdyby zostały mi tylko dwadzieścia cztery godziny życia? Może wyszłabym z domu i spróbowała poznać jakichś przyjaciół? Może poszłabym na imprezę zamiast siedzieć w swoim pokoju i odrabiać lekcje? Postarała się kogoś pocałować? Pójść z kimś do łóżka? Wspięłabym się na jakąś wysoką górę i wyła, bez obawy, że ktoś mnie usłyszy? A może bym płakała i jadła słodycze? Najpewniej nie zrobiłabym niczego z tej listy, może odważyłabym się zrezygnować z odrabiania lekcji, ale zakładam, że siedziałabym po prostu w swoim pokoju i wyglądała przez okno, tak jak robiłam to cały czas, tkwiłam w oknie, wyglądając na życie, którego częścią wcale się nie czułam. Patrzyłam na światła we wszystkich innych oknach i na ludzi, których nie znałam. Słuchałam odgłosów telewizora dochodzących z salonu, gdzie siedział tata, on także zupełnie sam.

Gdyby w stronę ziemi pędziła kometa, a wszyscy ludzie stanęliby w obliczu zagłady, czy w ostatniej chwili coś by się dla mnie zmieniło, czy też musiałabym się pogodzić z myślą, że mam to, co dostałam od losu, i nic więcej? Bo oto jest moje życie. Jesteś tym, kim jesteś, Britt.

Oto, ile miałam, i oto, co dałam innym.

Nie dałam innym niczego.

Tę odrobinę, którą dostałam od losu, zachowałam dla siebie.

Ale tego, co miałam, i tak nikt by ode mnie nie wziął, uwierzcie mi.

Nie jest jednak tak, że nienawidzę wszystkiego. Nie nienawidzę słońca ani księżyca, ani trawy, ani dmuchawców, krokusów na wiosnę, kakao jesienią, spania w świeżej pościeli, pierwszego kubka kawy o poranku i drugiego, gdy dzień już się zaczyna, kończenia zadań w pracy, chwili, kiedy udaje mi się zdążyć na autobus i wcale nie muszę biec, gdy obiad jest gotowy na czas, kiedy Espen wychodzi spod prysznic i zarówno on, jak i cała łazienka ładnie pachnie, gdy suszy włosy i jest rozczochrany i piękny, jak wtedy, gdy się poznaliśmy, a ja przypominam sobie, jak śmiałam się z jego dowcipów. Kiedy Elise się do mnie przytula i zawsze tak ładnie pachnie, nieważne, czy przed chwilą wzięła prysznic, czy nie, jej małych rączek, które rosną z każdym kolejnym dniem, pomagania jej przy różnych rzeczach – przy wszystkim, gdy była mniejsza, a teraz już nie tak nieustannie, ale chodzi o poczucie bycia potrzebną, gdy rozlega się jej głos: Mamo, możesz mi z tym pomóc, a potem pokazuje mi lekcje do odrobienia albo rysunek, super, którego nie umie rozwiązać, czy słoik dżemu, z którym się mocije. Istnieją na tym świecie dobre rzeczy.

CO SIĘ DZIEJE NA PLAŻY, GDY MNIE NIE MA

Runa siada na plaży kawałek od pozostałych. Ma ze sobą książkę, ale nie czyta, zamiast tego włącza playlistę, kładzie się na ręczniku i zamyka oczy. Mogłaby teraz być na wakacjach ze swoimi koleżankami, mogłyby razem podróżować, ale zamiast tego przyjechała z rodzicami do tego domku. Zawsze spędzali tu wakacje. Wyobrażała sobie, że będzie miło, bo przeważnie tak właśnie jest. Przeważnie jest też trochę męcząco, ale Runa niedługo będzie dorosła i zacznie robić to, na co ma ochotę. Bycie siedemnastolatką spędzającą wakacje z rodziną i przyjaciółmi rodziców też może być fajne. Runa pociesza się w każdym razie myślą, że wcale nie musi być ciężko i nudno, że to nie musi być kolejne lato, w którym nic się nie dzieje. Poza tym teraz właśnie coś się wydarzyło, bo Britt i Nico gdzieś przepadły. Runa patrzy na Espena, który siedzi obok jej ojca i rozmawia z nim o czymś, czego ona nie słyszy. Espen kilkakrotnie kręci głową, a potem nią kiwa. Ojciec klepie go po plecach.

Elise i Gard się kąpią, a matka znów im powtarza, żeby nie oddalali się od brzegu. Runa to słyszy mimo muzyki w słuchawkach. Gdyby były tu Nico i Britt, to Nico na pewno kąpałaby się z dziećmi, a Britt krzyczała, żeby nie oddalali się od brzegu, wyprzedzając w tym nawet matkę Runy. Dziewczyna zastanawia się, kto by krzyczał, gdyby matki też tu nie było. Zapewne ten obowiązek spadłby na nią. Runa pamięta, jak to było jeździć na te wyprawy jako dziecko, wszystko wydawało się wtedy o wiele ciekawsze. Dorośli stawali się nagle w swoim towarzystwie dziwni i zabawni, to było zupełnie tak, jakby miało się wakacje od swoich zwykłych rodziców. W domku letniskowym wolno było więcej. Można było siedzieć do późna. Odchodzić od stołu wtedy, gdy się miało na to ochotę. Można

było zaplatać włosy Nico, a Nico odwzajemniała jej się tym samym. A teraz Runa zaplata włosy Elise. Kiedyś wolno jej było wychodzić z domku, nawet jeśli zaczynało się już robić ciemno, a Nico opowiadała na plaży historie o duchach, czasami rozpałały też ognisko. Teraz, gdy Runa wychodzi wieczorami na przechadzki, nad brzegiem siedzą inne grupki i palą inne ogniska, widziała tu kiedyś paczkę nastolatków, ludzi w jej wieku, może trochę starszych, ale nigdy z nimi nie rozmawiała. Stała tylko na drodze i patrzyła na nich, na ognisko, twarze oświetlone płomieniami, a potem wracała sama do domku letniskowego, wchodziła do salonu, w którym dorośli śmiali się z czegoś i wznosili toasty. Wczoraj dostała nawet kieliszek wina. Ale tylko jeden. Piła wino już wcześniej, smakuje całkiem okej. Nic wczoraj nie zapowiadało tego, co stało się dzisiaj rano. Wszystko wydawało się zwyczajne, myśli Runa. Nabiera powietrza i wierci się trochę na ręczniku, czuje, jak pali ją słońce, i przypomina sobie, że nie posmarowała się kremem do opalania. Siada i zaczyna go szukać w swojej torbie. Nie znajduje kremu, więc wyjmuje słuchawki z uszu i pyta, czy ktoś mógłby jej pożyczyć.

– Rany boskie – mówi Anita, unosząc dłonie do twarzy. – Zapomnieliśmy o kremie do opalania. Gard! Elise!

Spieszy na brzeg, wyciąga dzieci z wody, by je wytrzeć i dokładnie nasmarować. Elise łąduje się Espenowi na kolana i wybucha śmiechem, gdy ojciec się wzdryga, bo jest taka zimna, a jego skóra taka rozgrzana. Espen wyciera małą swoim ręcznikiem. Gard stoi przed Trondem, który po prostu podaje mu ręcznik, a potem wygodnie się rozsiada, odmawia Anicie, która chce mu posmarować plecy. Espen smaruje Elise kremem i zaraz potem posyła ją z powrotem do wody.

– A krem nie powinien najpierw się wchłonać? – pyta Runa, smarując sobie nogi, potem ramiona, brzuch i piersi, próbuje nie

ubrudzić przy tym bikini.

Anita smaruje Garda i prosi go, żeby chwilę zaczekał z kąpielą, ale chłopiec czeka jakieś pół minuty, po czym biegnie z wrzaskiem za Elise.

– Na pewno nic im nie będzie – rzuca Espen.

– Masz trochę czerwone plecy – stwierdza Runa. A on wykręca głowę, próbując się obejrzeć.

– Może jednak przyda mi się trochę kremu – mówi Trond i wstaje, idzie w stronę Anity i kuca przed nią, ona zaś smaruje mu plecy, patrząc na dzieciaki ochlapujące się wodą z takim samym dzikim entuzjazmem jak przed zaledwie kilkoma minutami.

– Mamo, możesz mnie też posmarować? – pyta Runa, odwracając się tyłem do Anity, która kończy rozprowadzać krem po plecach Tronda, a potem podchodzi do niej.

– Uważaj na bikini – mówi Runa, ale Anita zdążyła je już ubrudzić kremem.

Próbuje go zetrzeć z kostiumu, smarując plecy córki energicznymi ruchami.

– No i już – oświadcza w końcu, wcierając sobie nadmiar kremu w udo.

Runa znów się kładzie i pogłaśnia muzykę. Jej ciało jest lepkie i rozgrzane. Powinna się wykąpać, ale nie ma siły. Chce tu tylko leżeć, czekając, aż będzie dorosła, czekając, aż wrócą Nico i Britt. Czy jeśli Britt i Espen się rozejdą, to oni nadal będą tu przyjeżdżać? Czy Espen będzie pojawiał się sam z Elise, czy może bez niej? Bywał tu przecież, jeszcze zanim zszedł się z Britt, więc Runa myśli, że będzie spędzał urlop w domku również po tym, jak się rozstaną. Runa ma tyle samo lat co jej ojciec w dniu, gdy poznał Nico. Dziewczyna próbuje to sobie wyobrazić, że byli nastolatkami, zupełnie jak ona teraz. Udaje się to z Espenem, ale z ojcem nie idzie to już tak łatwo.

Potrafi też zobaczyć oczyma duszy Nico, ale widziała przecież ich zdjęcia, a Nico akurat prawie wcale się nie zmieniła. Zawsze miała te same długie włosy. Matka Runy też nosiła długie włosy jako nastolatka, ale teraz obcina je na krótko. Ojciec miał dawniej dłuższą fryzurę, a teraz nosi tylko długą brodę. Runa przygląda się dorosłym, którzy siedzą na piasku i patrzą na dzieci. Nikt z nich się nie kąpie, mimo że na pewno im gorąco. Espen ma coraz bardziej czerwone plecy.

Są dorośli, ale kiedyś byli nastolatkami, myśli Runa. Może też leżeli na plaży, marząc o tym, by znaleźć się jak najdalej od swoich rodziców.

Nico chodziła w liceum do jednej klasy z Trondem i Espenem. Trond i Espen odnaleźli się jako pierwsi, jeździli do szkoły tym samym metrem i szybko zaczęli się ze sobą dogadywać, mimo że byli zupełnie różni. Espen zawsze grał rolę klasowego błazna, Trond robił zaś wrażenie poważnego. Zaprzyjaźnili się, dwóch szesnastolatków z dwóch przystanków na trasie metra numer 2. Trond, z krótką fryzurą i schludnie ubrany, lubił piłkę i był kapitanem szkolnej drużyny, a poza tym w wolnym czasie grał na gitarze w swoim pokoju w suterenie. Był przystojny, choć o tym nie wiedział. Espen nosił długie włosy i płaszcz, który kupił w sklepie Armii Zbawienia na tydzień przed rozpoczęciem liceum, chciał się przedefiniować i cieszył się, że znajdzie sobie miejsce w nowej klasie, gdzie nikt nie pamięta go z gimnazjum ani podstawówki – bo tam wyśmiewano jego nadwagę i nieporadność na wuefie. Podczas wakacji przed dziesiątą klasą Espen wystrzelił do góry i zeszczupłał, ale było już za późno, bo zdążył wrosnąć w swoją rolę i mógł tylko odliczać dni do końca gimnazjum i chwili, gdy na zawsze rozstanie się ze swoją klasą. Do liceum przyszedł w za dużym płaszczu i z za długimi włosami, żartował i robił różne numery, ludzie się śmiali, a on to uwielbiał. Gdy się dowiedział, że Trond gra na gitarze, doszedł do wniosku, że muszą założyć zespół. Sam mógłby grać na perkusji albo basie, albo śpiewać, cokolwiek, ale tak czy inaczej trzeba było coś zrobić z gitarowymi umiejętnościami Tronda. Siedzieli więc w suterenie i razem sobie brzdąkali.

Nico należała do paczki dziewczyn, która zawiązała się na początku pierwszej klasy, wszystkie ładnie pachniały i nosiły długie włosy, miały chłopaków z innych szkół, Nico nie była wyjątkiem.

Spotykała się wtedy z kimś od paru lat, inne dziewczyny często mówiły, jaki to on jest słodki i jak idealnie do niej pasuje. Raz przyszedł po nią na szkolne podwórze z bukietem róż i było to komentowane jeszcze długo potem. Nico nie lubiła róż i czuła się zażenowana, przyjmując od niego kwiaty przy całej szkole. Gdy zerwała z nim zimą w drugiej klasie, nikomu o tym nie powiedziała, ale odsunęła się od dziewczynskiej paczki, próbując zamiast tego skupić się na nauce. Nie chodziła już na klasowe imprezy i w końcu przestano ją na nie zapraszać.

Na szkolnej wycieczce wiosną w drugiej klasie zobaczyła Tronda i Espena siedzących w korytarzu schroniska; wszyscy inni wymknęli się do pobliskiego baru, niektórzy mieli już skończoną osiemnastkę, a niektórym udało się załatwić sfałszowane dowody. Ostatniego wieczoru wycieczki nauczyciele powiedzieli, że wszyscy muszą wrócić do schroniska przed jedenastą, inaczej dostaną nagane, no i rzecz jasna nie wolno pić, nawet tym, którzy mają skończone osiemnaście lat. Był marzec i w powietrzu dawało się już wyczuć wiosnę, słońce zaszło nad suchym asfaltem i jasnozielonymi drzewami na wybrzeżu, nad którym się zatrzymali, wszyscy z ich klasy stali w kolejce, by wejść do lokalu z głośną muzyką i tanim piwem, a Nico miała parę kupionych wcześniej niskoalkoholowych piw i czekoladę, którą zamierzała zjeść w piętrowym łóżku, czytając książkę, ale po drodze z prysznicą, z którego wreszcie mogła skorzystać bez czekania w półgodzinnej kolejce, natknęła się na Tronda i Espena siedzących na podłodze. Grali na gitarze, a w stojącej między nimi torbie stała butelka whisky i kilka piw.

– Cześć – powiedziała Nico. Miała turban z ręcznika na głowie, była ubrana w spodnie od dresu i koszulkę na ramiączkach, bosa, a pod pachą niosła kosmetyczkę.

– Hejka – rzucił Espen, unosząc puszkę z piwem w geście toastu.

- Nie poszliście ze wszystkimi?
- Nie – odpowiedział Trond.
- I co, urządziliście sobie własną imprezkę?
- Zgadza się, tylko dla specjalnie zaproszonych.
- Ach tak. – Nico postąpiła nad nimi chwilę w nadziei, że nastąpi specjalne zaproszenie, ale gdy nie nastąpiło, ruszyła w kierunku wspólnej sypialni.
- Nie, ty ją zapytaj – usłyszała za plecami głos Tronda, po czym Espen zerwał się z ziemi i za nią pobiegł.
- Jak chcesz, to możesz z nami posiedzieć.
- Okej – powiedziała Nico po chwili udawania, że się zastanawia.
- Muszę tylko najpierw... – wskazała na drzwi do sypialni i na kosmetyczkę, a Espen kiwnął głową.

Był to wieczór z tych, o których się potem opowiada latami. Pili piwo i whisky, gadając jak najęci. Trond grał na gitarze i wszyscy śpiewali, fałszywie, ale z entuzjazmem. Gdy reszta wróciła z miasta, oni nadal siedzieli w korytarzu na swojej małej imprezie. Patrzyli, jak dziewczyny i chłopaki znikają za drzwiami wspólnych sypialni.

Espen, Trond i Nico kontynuowali swoją imprezę również po powrocie do domu, gdzie stali się nierozłączną licealną grupą trojga. Grali w gry komputerowe u Espena, smażyli naleśniki u Tronda, pomagali sobie nawzajem przy lekcjach u Nico, która nawet wsparła Tronda w projekcie znalezienia sobie pierwszej dziewczyny. Była to urocza koleżanka z ich klasy, Siri, w której Trond kochał się już od trzeciego dnia szkoły. Espen nie był zainteresowany znalezieniem sobie kogoś na stałe, ale zawsze udawało mu się z kimś pościskać na klasowych imprezach. Czasami jedną z tych osób bywała Nico, pod warunkiem, że dość dużo wypili. Pierwszy raz poszli ze sobą do łóżka dopiero jako dwudziestoparolatki. Zawarli coś w rodzaju

umowy, że jeśli oboje będą singlami, to od czasu do czasu mogą ze sobą sypiać, ale nigdy nie przerodziło się to w nic więcej. Po prostu radzili sobie w ten sposób z samotnością, którą odczuwa czasem długo niedotykane ciało. Więc było to tym, czym było, dopóki trwało.

Anita wstaje i pyta, czy pozostali chcą z nią wrócić do domu. Espen woła do dzieci, że jeśli mają ochotę, mogą pójść z Anitą.

– A co będziemy robić? – pyta Elise, po czym siada w wodzie, zanurza buzię i wydmuchuje powietrze ustami i nosem, więc nie słyszy odpowiedzi dorosłych.

– Że co? – woła, gdy Anita mówi, że mogą robić, co tylko zechcą.

– A mama wróciła? – pyta Elise, zaczynając gramolić się z wody. Gard idzie w jej ślady.

– Może – odpowiada Anita, owija Elise ręcznikiem i ją przytula.

Gard dostaje ręcznik od ojca i zaczyna się wycierać. Ma piasek między palcami stóp i mówi, że nie chce zakładać butów. Przebierają się w suche ubrania, Anita płucze strój kąpielowy Elise, po czym podnosi kąpielówki Garda, które chłopiec zwinął w kulkę i cisnął na piasek. Wydaje się jej, że dzieci trochę się spaliły na słońcu, ale ma nadzieję, że to nic poważnego. Pomyśleć, że zapomnieli o kremie do opalania.

– Możemy kupić po drodze lody w kiosku – rzuca, starając się, by jej głos zabrzmiał lekko i radośnie.

– A mogę pograć na komórce? – pyta Gard, ale Anita mówi, że nie, zanim Trond ma czas odpowiedzieć.

– Pogramy zamiast tego w karty albo chińczyka.

Pakuje stroje kąpielowe oraz ręczniki i bierze dzieci za ręce, po czym prowadzi je do kiosku z lodami. Runa leży na ręczniku, Trond i Espen siedzą na swoich. Machają odchodzącym na pożegnanie.

Trond wyciąga dwa piwa, które wcześniej spakował, i podaje jedno Espenowi. Zerka na Runę, która wygląda, jakby zasnęła. Obaj równocześnie otwierają puszki i upijają pierwszy spieniony łyk bez

słowa. W ogóle nie odzywają się już od dłuższej chwili. Po tym, jak Anita zabrała bawiące się dzieci, na plaży zapada spokój. To aż dziwne, jak strasznie jest bez nich cicho.

– Jak myślisz, gdzie one właściwie są? – pyta w końcu Trond.

– Kto?

– No przecież Britt i Nico.

– A. Aha. Nie mam, kurwa, pojęcia.

– Myślisz, że coś się stało?

– Oczywiście, że nic się nie stało – mówi Espen. – Britt się po prostu o coś wkurzyła i musi nas wszystkich w to angażować.

– Hm – mruczy Trond.

– Trudno mi zgadnąć, co jest nie tak, kiedy ona nie chce powiedzieć, co jest nie tak. Britt musi zacząć używać słów.

– A czy przypadkiem tego nie zrobiła? – pyta Trond.

– Że co?

– Moim zdaniem dziś rano użyła wielu słów.

– Ale niczego nie powiedziała. Tak naprawdę. Tylko to, że jesteśmy wszyscy bandą idiotów. A to przecież już dawno wiedzieliśmy.

Espen upija duży łyk, ale piwo wpada mu nie w tę dziurkę. Zaczyna kasłać i odstawia puszkę na piasek.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to ona też jest idiotką – mówi w końcu.

Obaj przyjaciele spoglądają na morze. Niewielka przystań pontonowa kołysze się na łagodnych falach, niebo jest jaskrawo błękitne, słońce przypieka. Oto kolejny idealny letni dzień, podobny do wszystkich innych letnich dni, gdy siedzieli tu na plaży z piwem. Runa otwiera oczy i siada, wyjmuje słuchawkę z ucha i przysłuchuje się, jak jej ojciec gawędzi z Espenem. Wciąga sukienkę na bikini,

pakuje się i woła, że idzie do domu wziąć prysznic. Ojciec unosi w odpowiedzi rękę i mówi, że oni też niedługo przyjdą.

Runa wysłała wiadomość do Nico i pyta, gdzie ona jest. Ogląda się na ojca i Espena pijących piwo z puszek. Jakie to typowe, że oni mogą sobie tak po prostu siedzieć i czilować, zupełnie jakby wszystko przed chwilą nie runęło. Dziewczyna przyspiesza kroku, a gdy dociera do domu, stwierdza, że drzwi tarasowe stoją otworem, ale w środku są tylko Anita i dzieci. Siedzą na podłodze w salonie i grają w karty.

– Idę się umyć – rzuca Runa i znika w piwnicy, ściąga sukienkę przez głowę i wchodzi pod prysznic w bikini, odkręca zimną wodę i oddycha spokojnie, gdy lodowaty strumień uderza w jej ciało. Jest otoczona przez idiotów, ten domek letniskowy był ich pełen przez te wszystkie lata. Gdy Runa była mała, sądziła, że dorośli wiedzą wszystko, ale oni nie wiedzą absolutnie niczego. Choć myślą, że jest inaczej.

Możliwe, że nie wiem wszystkiego, ale wiem, kiedy wkurzyłam się na Espena tak, że już mi nie przeszło. Elise była mała, załatwiliśmy jej opiekę i wyszliśmy na miasto, każde z nas na swoją imprezę. Espen spotkał się z Trondem, Anitą i Nico, a ja poszłam na firmowe przyjęcie świąteczne. Z małą został ojciec Espena. Uzgodniliśmy, że oboje będziemy w domu o wpół do dwunastej, co oznaczało konieczność wyjścia z imprezy o jedenastej, ale to nie stanowiło problemu, mieliśmy przed sobą wiele godzin, które mogliśmy spędzić ze swoimi znajomymi, wiele godzin poza domem, dla mnie to było pierwsze wyjście od porodu, Espen już wcześniej był na kilku imprezach, ale zawsze wracał o dziesiątej albo jedenastej, bo mu mówiłam, że tego potrzebuję i nie chcę, żeby następnego dnia miał kaca. Tamtego wieczora pojechaliśmy razem taksówką do miasta, zazwyczaj nigdy tego nie robimy, przeważnie wybieramy autobus, ale tym razem wsiedliśmy do taksówki, wypiliśmy nawet wcześniej piwo w domu, ojciec Espena powiedział, że chętnie zostanie z małą też innym razem, żebyśmy mogli pójść na wspólną randkę, a nie na osobne imprezy, oświadczył to ze śmiechem, a ja i Espen wypiliśmy po piwie.

Wysiadłam z taksówki pierwsza i powiedziałam Espenowi, żeby pozdrowił pozostałych.

– Baw się dobrze – odpowiedział i pomachał, przesyłając mi całusa, co nie zdarzyło mu się już od dawna.

Poszłam na imprezę świąteczną, było całkiem miło, ale myślałam o Espenie i jego przyjaciółach i po raz pierwszy od dłuższego czasu doszłam do wniosku, że wolałabym raczej spędzać czas z nimi. Być razem z Espenem. Jego ojciec miał rację, nie byliśmy parą zbyt

długo, tęskniłam za byciem jego dziewczyną, siedzeniem obok niego, słuchaniem jego durnych żartów, byciem dumną z tego, że inni się z nich śmieją, choć sama nie zawsze uważałam, że są zabawne.

Zrobiło się późno, więc zaczęłam się zbierać, żeby wyjść chwilę przed jedenastą, powiedziałam o moich planach współpracownikom przy stole, w końcu wstałam i włożyłam płaszcz i szalik. W tamtej właśnie chwili zadzwieczał mój telefon. Dzwonił Espen.

– Cześć – powiedziałam uradowana, bo pomyślałam, że chce mnie spytać, czy przyjechać po mnie taksówką, czy wrócimy razem do domu.

W tle słychać było hałasy, muzykę i głosy.

– Cześć – odpowiedział Espen. – Wiesz co, tak sobie pomyślałem, że przecież wystarczy, żeby jedno z nas wróciło do domu, prawda?

– Co?

– No bo mój tata będzie z małą, dopóki jedno z nas nie wróci, a skoro ty i tak już wychodzisz z imprezy, to ja bym mógł zostać trochę dłużej. Elise przecież na pewno śpi, w każdym razie tata się w tej sprawie nie odzywał, a jej jest wszystko jedno, czy któreś z nas zostanie dłużej na mieście, pod warunkiem, że w domu będzie ktoś dorosły?

– Nie wybierasz się do domu?

– A ty nie jesteś już przypadkiem w drodze? – spytał Espen.

Stałam w szatni ubrana w płaszcz i szalik i zbierałam się do wyjścia, ale tylko dlatego, że tak uzgodniliśmy, że taka była między nami umowa, bo byliśmy mamą i tatą, bo mieliśmy wrócić do domu o wpół do dwunastej, takie były ustalenia, to się miało stać, a teraz Espen rozmawiał ze mną przez telefon, zaś jego znajomi kupowali w tym czasie nową kolejkę, grała głośna muzyka, a oni mieli gadać o głupotach, wznosić toasty i być przyjaciółmi, Espen miał się upić i wrócić do domu późno, może po afterku, może po wstąpieniu na

kebab, bo tak się właśnie zachowywał, zanim zostaliśmy rodzicami, tak się zachowywał, gdy się poznaliśmy, a ja nie miałam potrzeby zostawać dłużej na mojej imprezie świątecznej, ale on nie musiał o tym wiedzieć, bo co, jeśli to ja miałabym ochotę jeszcze trochę posiedzieć ze znajomymi, czy to on wróciłby wtedy do domu?

– A ty nie mógłbyś wrócić? – spytałam.

– Że co?

– Czy ty nie mógłbyś wrócić do domu? – powtórzyłam nieco głośniej.

Espen nie odpowiedział.

– To twój ojciec zajmuje się małą, więc nie lepiej, żebyś to ty wrócił, skoro wystarczy, by w domu było jedno z nas?

A on wypowiedział moje imię w sposób, w który często je ostatnio wypowiadał. Z rezygnacją, poirytowaniem, ponuro.

– Daj spokój – odezwał się, gdy nie odpowiedziałam.

Rozłączyłam się i wyszłam na dwór. Padał śnieg i było zimno, machałam na taksówki, ale żadna z nich się nie zatrzymała, zdążyłam za to na autobus, a gdy wróciłam do domu, ojciec Espena spał na kanapie, zupełnie jak jego syn. Zdjęłam płaszcz i weszłam do kuchni, nalałam sobie szklanek wody i wmaszerowałam do salonu, na tyle głośno, by obudzić ojca Espena, ale na szczęście nie Elise.

– Ach, już wróciliście? – spytał mój teść ze zdziwieniem, po czym spojrzał na zegarek i stwierdził, że jest parę minut po wpół do dwunastej.

– Espen niedługo przyjdzie – skłamałam. – Nie udało mu się zatrzymać taksówki.

– Mam zaczekać? – zapytał teść, pocierając oczy, ale ja pokręciłam głową i odprowadziłam go do przedpokoju, zamknęłam za nim drzwi, po czym położyłam się, nie zmywając makijażu. Nie mogłam

zasnąć, ale gdy Espen parę godzin później wrócił do domu, czkając, udałam, że śpię.

To się stało właśnie wtedy.

Byłam na niego taka wściekła, że został dłużej na mieście. Byłam wściekła na Tronda, Anitę i Nico za to, że żadne z nich nic nie powiedziało.

Ale co z Britt? – powinni byli zapytać.

Tylko że ja wiem, co Espen by im odpowiedział:

„Ona się na mnie kwasi tak czy inaczej. Nieważne, czy wrócę do domu, czy zostanę, więc równie dobrze mogę zostać”.

Po tym wieczorze tak właśnie było. Trzeba mu to przyznać. Ale to się zaczęło właśnie wtedy.

CO SIĘ DZIEJE W DOMU, GDY MNIE NIE MA

Godziny w domku letniskowym płyną powoli. Runa i Anita przygotowują obiad, Gard i Elise grają w karty, leżąc na podłodze, co jakiś czas podchodzą do rodziców, pytając, kiedy dostaną jedzenie, czy Nico i Britt wrócą, czy ktoś wie, gdzie one są, czy mogą wyjść do ogrodu, pożyczyć komórkę i pograć w gry, zejść do piwnicy i obejrzeć film, czy ktoś chce pograć z nimi w karty, mogliby zagrać w wojnę, durnia albo szalone ósemki, bo oni znają dużo gier, a w każdym razie te trzy.

Runa pyta, czy pomogą jej zrobić sałatkę, każde z nich może dostać warzywo do pokrojenia. Gard dostaje ogórek i nóż, a Elise kilka pomidorków i nieco mniejszy nożyk. Runa podsuwa im po stołku, by mogli stać obok niej przy kuchennym blacie, i pokazuje, jak kroić. Gard kroi ogórek w kostkę, która nie jest zbyt drobna ani równa, ale ostatecznie do przyjęcia. Elise kroi pomidorki koktajlowe na połówki, a potem na ćwiartki. Runa płucze liście sałaty, rwie je i wkłada do miski, Elise może potem wszystko wymieszać. Runa przygotowuje dressing, którym będą mogli polać sałatkę na sam koniec, dodaje fetę i awokado, po czym zanoszą miskę do nakrytego wcześniej stołu na tarasie. Trond i Espen siedzą tam już z piwem, a gdy Anita przynosi kotlety, woła, że podano do stołu, mimo że wszyscy są już na miejscu. Elise wspina się na krzesło obok Espena, Gard siada koło Runy, Anita zajmuje miejsce u szczytu stołu, tam gdzie zazwyczaj siedzi Nico, i wszyscy zabierają się do jedzenia.

Dorośli rozmawiają o nudnych rzeczach nudnym tonem. Gard i Elise jedzą pospiesznie, nakładają sobie nawet trochę sałatki, głównie dlatego, że brali udział w jej przygotowaniu. Gard mówi, że ogórek jest najlepszy. Elise odpowiada, że wcale nie, bo pomidorki,

choć tak naprawdę najbardziej smakuje jej awokado. Runa oświadcza, że pyszna jest cała sałatka, ze wszystkimi składnikami wymieszanymi w misce.

– Tym wielkim widelcem i łyżką – mówi Elise.

– Tak – odpowiada Runa.

Nakłada sobie jeszcze trochę sałatki i pyta, czy dzieci też chcą.

– Jeszcze trochę ogórka – odpowiada Gard.

– I jeszcze trochę awokado – dorzuca Elise. – I pomidorków.

– Nie ma problemu – mówi Runa, wybierając z sałatki na swoim talerzu to, czego sobie życzą dzieci, i przekładając na ich talerze.

– Po jedzeniu możemy zrobić coś fajnego – mówi Elise.

– Jasne – odpowiada Runa.

– A co ty robisz, jak możesz porobić coś fajnego? – dopytuje dziewczynka.

– Runa lubi oglądać telewizję – odpowiada Gard.

– To prawda – stwierdza Runa.

– I się malować.

– Ale nie dlatego, że to moim zdaniem fajne – precyzuje starsza siostra.

– To dlaczego? – pyta Elise.

– Bo mnie to uspokaja – wyjaśnia Runa, odkrawając kawałek kotleta.

– Ja nie lubię kosmetyków do makijażu, ale lubię lakier do paznokci – oświadcza Gard, który zjadł już swoje ogórki i wyciąga rękę nad stołem, by chwycić butelkę z wodą. Runa się pochyła i mu ją podaje.

– Mam ze sobą lakier, możemy wam potem pomalować paznokcie.

– U rąk i nóg – mówi Gard.

– Gdzie tylko chcecie.

– Ale buzi nie malujemy – mówi Elise.

– Nie, buzi może nie.

– Buzię można smarować kremem do opalania i brokatem, widziałam na YouTube.

– Tak, jest taki specjalny brokat do twarzy – potwierdza Runa.

– A masz brokat? – pyta Gard.

– Nie. Ale mam taki jakby puder z rozświetlaczem.

– Nie, dzięki – mówi Gard. Zeskakuje z krzesła, podchodzi do Tronda i pyta, czy może pożyczyć komórkę.

Anita zastrzega, że może pograć tylko pół godziny.

– Okej – odpowiada Gard, po czym zabiera komórkę na trawnik, gdzie siada po turecku i uruchamia grę.

– Skończyłaś już jeść? – zwraca się Elise do Runy.

– Mhm – odpowiada dziewczyna i kiwa głową, nadal przeżuując.

– Przynieść lakier do paznokci?

– Ja to zrobię – mówi Runa z jedzeniem w ustach.

Wstaje i wychodzi, żując i w końcu przełykając. Zbiega po schodach do piwnicy, wpada do swojego pokoju, znajduje kosmetyczkę i sprawdza, czy lakier do paznokci i puder są na miejscu. Zagląda do torby, sprawdza, czy jest w niej coś jeszcze, i wyławia drugi lakier oraz gumkę do włosów, zabiera to wszystko na górę, gdzie Elise nadal siedzi przy stole, patrząc na dorosłych, którzy rozmawiają przy drugim jego końcu ściszonymi głosami.

– Chodź – odzywa się Runa wesoło. Próbuje być radosna i zagłuszyć rodziców i Espena szepczących do siebie ze zmartwionymi minami i zmarszczonymi czołami.

– Nie posprzątam najpierw? – pyta Elise, a Runa oświadcza głośno, że mogą to zrobić tatusiowie.

– Hm? – mruczy Trond i unosi na nią wzrok.

Ale Runa zdążyła już wyciągnąć rękę do Elise, która chwyta jej dłoń i zeskakuje na podłogę.

– Zrobimy się na bóstwa – oświadcza Runa, a potem obie schodzą na trawnik i dołączają do Garda.

Jest jeszcze widno, słońce zajdzie dopiero za kilka godzin, ale światło jest łagodniejsze, nie tak ostre jak w ciągu dnia. Siadają przed Gardem, który unosi wzrok znad swojej gry i uśmiecha się na widok kosmetyczki siostry. Zazwyczaj nie wolno mu w niej grzebać, ale teraz Runa ją otwiera i stawia mu pod nosem. Gard wyłącza grę. Jego siostra ma tyle dziwnych rzeczy, nie sposób stwierdzić, do czego to wszystko służy. Są tam pędzelki i ołówki niebędące ołówkami. Kolorowe kółeczka w czarnych plastikowych pojemniczkach. Są opisane złotymi literami i wyglądają trochę jak farby malarzy, ale nimi nie są. Zawartość kosmetyczki ładnie pachnie, trochę jak kurz i trochę jak perfumy. Gard wyjmuje jeden z pędzelków i wacha, marszczy nos i podaje pędzelek Runie, gdy ta wyciąga rękę i prosi, by go oddał.

– Na pewno nie chcesz rozświetlacza? – pyta starsza siostra, a Gard kręci powoli głową, ale patrzy, jak Runa pędzelkiem nakłada puder na buzię Elise, która się śmieje i mówi, że to łaskocze.

– Zamknij oczy, ale spróbuj rozluźnić twarz, nie zaciskaj powiek – mówi Runa.

Elise stosuje się do instrukcji. Pędzelek jest miękki, to takie uczucie, jakby ocierać policzek o chmurę albo delikatny koński ogon z tysiącem cienkich włosków.

– Wygląda mało brokatowo – stwierdza Gard.

– Bo to nie brokat, tylko rozświetlacz – wyjaśnia Elise.

– Ja tam nie widzę też rozświetlenia – rzuca chłopiec.

– A ja tak – mówi Runa.

Wkłada palec pod brodę Elise i ostrożnie unosi jej głowę. Elise się temu poddaje, nadal z przymkniętymi oczami.

– No i już – mówi Runa, a mała kilkakrotnie mruga.

– Mogę zobaczyć? – pyta.

Przegląda się w kieszonkowym lusterku, które podsuwa jej Gard.

– Hmm – mruczy. – To nie będzie się ani trochę mienić?

– Trochę się mieni – odpowiada Runa i odrobinę przekrzywia głowę Elise, tak by słońce padło na jej policzki. Wtedy faktycznie widać, że puder trochę opalizuje.

– O – mówi, a Elise kiwa z zadowoleniem głową.

– Masz coś jeszcze? – pyta.

– Z kosmetyków?

– Mhm.

– Tak, możemy spróbować nałożyć cień do powiek.

– Poproszę – odpowiada Elise i zamyka oczy.

Gard patrzy, jak jego siostra sięga po malarskie farby, które tak naprawdę nie są farbami.

– Który kolor ci się najbardziej podoba? – pyta Runa, a dziewczynka się namyśla.

– Różowy – decyduje. – Nie, zielony.

– To może trochę różu i trochę zieleni?

Elise kiwa głową i znów opuszcza powieki. Gard przygląda się uważnie, jak Runa muska pędzelkiem różowy cień i nanosi go ostrożnie na powieki Elise.

– Na środku nałożymy róż – wyjaśnia Runa. – A po bokach trochę zielonego.

– Bardzo dobrze – stwierdza Elise z zadowoleniem.

– Ty na pewno nie chcesz? – upewnia się Runa, widząc, że jej brat śledzi wszystko z zainteresowaniem.

– Może troszeczkę, ale nie różowego – odpowiada chłopiec.

Jego siostra kiwa głową i mówi, że może go umalować tak, jak sobie zażyczy.

- Mam różne cienie, niebieski i srebrny, a nawet czarny.
- To ja chcę srebrny – mówi Gard.

Runa maluje dwie małe buzie. Dzieciaki śmieją się i robią miny, przeglądają się w kieszonkowym lusterku. Gard chce, żeby polakierować mu tylko paznokcie na kciukach i paluchach u stóp. Elise decyduje się na pomalowanie wszystkich paznokci. Runa chwyta ich paluszki, ostrożnie nanosi lakier pędzelkiem.

– A teraz trzeba podmuchać – mówi do Elise, która unosi świeżo pomalowane paznokcie na wysokość twarzy.

- Dmuchaaj – poucza ją Gard, który już dmucha na swoje kciuki.
- No dobrze – odpowiada Elise, po czym zamyka oczy i też dmucha, machając przy tym palcami.

Runa pozwala im się w ten sposób bawić i sama maluje sobie w tym czasie paznokcie. Zerka na rodziców i Espena, którzy siedzą przy stole i rozmawiają.

– Ktoś próbował do nich dzwonić? – chce wiedzieć Anita.

- Do kogo? – pyta Trond.
- Do Nico, Britt albo ich obu.

Nikt nie odpowiada.

– Rany boskie – wzdycha Anita i odchodzi od stołu.

Zabiera talerze, wstawia je do zlewu i odkręca wodę. Trond zerka na Espena i kilkukrotnie chrząka, ale ten nie reaguje. Anita zaczyna zmywać gorączkowymi ruchami, kilka razy odwraca się do mężczyzn i robi głębokie wdechy, nie zakręcając wody. Nalewa do zlewu płynu do zmywania i patrzy, jak piana zakrywa brudne naczynia.

– O której Britt wyszła? – pyta w końcu Trond.

– Była chyba dziewiąta – odpowiada Espen.

– Tak – potwierdza Trond, zerkając na zegarek, który pokazuje ósmą wieczorem.

– Myślisz, że Nico odwiozła ją do domu?

Espen wzrusza ramionami.

– Nikt nie miał od nich w ogóle żadnego znaku życia? Esemesa, kartki, czegokolwiek? – Anita siada przy stole, ale zaraz znów wstaje, przynosi ścierkę i zaczyna wycierać blat, a Trond i Espen podnoszą tylko ręce, gdy ścierka się do nich zbliża. Niepozmywane naczynia stoją w zlewie, ale Anita się nimi nie przejmuje.

– Ona wróci – mówi Espen. A potem powtarza to, jakby mówił do siebie.

– Próbowalesz do niej dzwonić? – Anita powtarza pytanie.

– Oczywiście, że próbowałem, ale nie odbiera.

– A w ogóle zabrała ze sobą komórkę? – Trond próbuje sobie przypomnieć poranek. Britt wyszła z domu krótko po tym, jak wstała z łóżka. Czy w ogóle miała coś ze sobą?

– To może ja spróbuję – odzywa się Anita.

Wyciera rękę w szorty, po czym podnosi komórkę i wybiera numer. Najpierw próbuje połączyć się z Nico, bez skutku. Potem z Britt, również nadaremnie. A potem znów z Nico. Spogląda na ogród, gdzie Runa nakłada dzieciom makijaż, Gard macha stopami, Elise opiera głowę na jego ramieniu i gmera przy strupku na kolanie, który zrobił jej się po ukąszeniu komara na początku wakacji.

– Nie odbierają – oświadcza Anita i stoi przez chwilę przy stole, po czym siada na krześle, które podsuwa jej Trond.

Zawsze się tak martwi różnymi rzeczami. Trond jej powtarza, żeby trochę wyluzowała, że zazwyczaj wszystko się dobrze kończy. Gdy Runa wychodzi na imprezę, to jest po prostu na imprezie, nic więcej. Kiedy Trond pracuje do późna, to zwyczajnie pracuje do

późna. A skoro Gard wlaźł na drzewo, to jakoś z niego zlezie. Ale Anita cały czas sobie wyobraża, że ktoś dosypuje Runie czegoś do drinka, ktoś idzie za nią do domu, Trond ma wypadek, bo na drodze jest ślisko, Gard spada z drzewa albo wybiega na drogę prosto pod jadące auto, bo się nie rozejrzył, że cała jej rodzina znika, a ona nie może nic z tym zrobić. Znow próbuje dzwonić, ale znow nikt nie odbiera.

Espen wstaje i idzie do sypialni. Szybko wraca, niosąc komórkę nadal podłączoną do ładowarki, idzie w ich stronę ze zwisającym kablem. Musiał wyrwać ładowarkę z kontaktu.

– Nie zabrała komórki – oświadcza i rzuca telefon na blat.

Stoi przez chwilę i na niego patrzy.

– Kurwa – mówi Trond.

– Gdzie one mogą być? – zastanawia się Anita.

– Nie mam pojęcia – stwierdza Espen.

– Może powinienem pójść ich poszukać? – proponuje Trond.

– Nadal jest dość wcześnie – odpowiada Anita. – Może pojechały do miasteczka albo coś w tym rodzaju?

– Albo może ona uciekła – rzuca Runa od drzwi tarasu.

Weszła do domu, by wziąć sobie coś do picia.

– Uciekła? – powtarza Espen.

– Tak.

Runa odwraca się do dorosłych, stojąc w kuchni z puszką napoju gazowanego w ręku. Otwiera ją nad zlewem, bo napój się pieni. Krople kapią do zlewu, dziewczyna upija odrobinę, czekając, aż przestanie się wylewać.

– A czemu miałyby uciec? – pyta Espen. Jego głos łamie się na ostatnim słowie.

– Nie wiem – mamrocze Runa, idąc z powrotem do drzwi na taras. – Mogła mieć co najmniej z dziesięć powodów. Albo ze sto –

dodaje pod nosem, już na podeście.

– Ona na pewno nie uciekła – mówi Espen. Patrzy na moją komórkę, jakby to ona miała mu dać jakąś odpowiedź. Ale telefon sobie tylko przed nim leży. Ze zdjęciem Elise w urodzinowej koronie. Wyświetlacz robi się czarny.

– Nico na pewno się nią opiekuje – mówi Trond, otaczając kumpla ramieniem. Espen kiwa głową i znów zerka na moją komórkę. Na ekranie widać nieodebrane połączenia od niego i Anity, a niżej jeszcze dwa inne, z numeru, którego nie zna.

– Może powinniśmy zadzwonić na policję? – pyta Trond, ale Espen kręci głową.

– Nie znam jej hasła – odzywa się w końcu, po dłuższej chwili milczącego wpatrywania się w komórkę.

– To telefon Britt, nie możesz... – zaczyna Anita, ale Trond już go chwycił i zaczyna stukać w klawiaturę.

– Daty naszych urodzin nie działają – mówi Espen. – Już próbowałem.

– Dajcie spokój – rzuca Anita i odbiera komórkę Trondowi, patrzy na zdjęcie Elise na ekranie, a potem zerka na małą, która siedzi na trawie z Gardem i Runą, śmieje się i macha w powietrzu świeżo polakierowanymi paznokciami.

– Ale Nico zabrała ze sobą telefon, prawda? Na pewno można jej wysłać wiadomość i wyjaśnić powagę sytuacji.

– Nico nigdy w życiu nie brała niczego na poważnie – stwierdza Espen.

– Trudno się nie zgodzić – stwierdza Trond.

– Przecież ona nie porwała Britt, po prostu pojechały gdzieś razem, to dorosłe osoby, mogą robić, co im się podoba – mówi Anita.

– Zadzwoimy na policję za dwie godziny. Wtedy minie dwanaście godzin od ich zniknięcia – Trond spogląda na Anitę i Espena, czekając, aż się z nim zgodzą.

– Chyba zasady są takie, że trzeba odczekać dobę albo dwie, przecież chodzi o dorosłą osobę – zastanawia się Anita, a Espen wali ręką w stół.

Szklanki, które zostały na nim po obiedzie, podzwaniają. Dzieci przestają się śmiać i spoglądają w stronę dorosłych. Anita się do nich uśmiecha i wstaje, mówi, że zapomnieli o deserze.

– Kto ma ochotę na lody? Mamy lodowe kanapki, lodowe snickersy i lody na patyku, całą zamrażarkę lodów. Runa, pomożesz mi je przynieść?

Runa pakuje kosmetyki i wchodzi do domu, rzuca kosmetyczkę na kanapę i idzie za matką do kuchni, gdzie wyjmują lody z zamrażarki. Anita podaje pudełka Runie, która umieszcza je jedno na drugim i zanosz do salonu, stawia zdecydowanym ruchem przed Espenem i Trondem, którzy milkną na jej widok.

– Łyżeczki są w kuchni. – Runa bierze sobie loda snickersowego i oznajmia, że idzie na spacer.

– Ale nie możesz sobie tak po prostu pójść jak one – protestuje Trond, lecz dziewczyna unosi dłoń i macha im na pożegnanie, nawet się nie obejrzawszy.

Wychodzi z ogrodu na drogę prowadzącą nad morze, odwija loda z papierka i zaczyna go jeść, oddalając się od domku letniskowego. Zaraz wróci, Elise i Gard niedługo będą się kłaść, ale ona przedtem zejdzie z nimi do piwnicy, ma tam słodczy, mogą sobie urządzać wieczór filmowy, Runa musi po prostu najpierw pobyć trochę sama.

– Jesteśmy aż tacy nieznośni, że ludzie po prostu od nas wychodzą i znikają? – dziwi się Anita, opierając głowę na dłoni.

– Jeśli tak, to przynajmniej możemy być nieznośni razem – rzuca Trond i podkrada łyżeczkę lodów truskawkowych z jej miseczki.

– To wcale nie jest śmieszne – mówi Espen.

– Masz rację – zgadza się Anita i kręci głową.

– W żadnym razie – dodaje Trond.

– One wrócą – mówi Anita.

– A jak już wrócą, to co wtedy? – pyta Espen, spoglądając na przyjaciół.

Nie dostaje odpowiedzi.

Zawsze byli paczką. Nico, Espen, Trond i Anita. Paczką, która się rozrosła. Najpierw dołączyła do nich Runa, potem ja, potem mały Gard i na koniec Elise. Oni byli w centrum tej paczki, a my krążyliśmy wokół nich.

Sama nie mam swojej paczki. Nie mogę zadzwonić do Anity i poprosić o radę, nie mogę zapytać, czy Trond by do nas wpadł pomóc zamontować szafkę albo po coś pojechać, a gdy nadchodzi wieczór i czuję się samotna, nie mogę po prostu napisać do Nico, że chcę pogadać.

Nie mam żadnych bliskich przyjaciół. Najbliższa jest mi chyba Bente. Z liceum. Chodziłyśmy do jednej klasy, siedziałyśmy z tyłu, nie rzucałyśmy się w oczy, po prostu każda z nas była sobą, aż do tamtego zdarzenia w drugiej klasie. Nie chodziłyśmy na szkolne imprezy, wybierałyśmy się czasem do kina albo przesiadywałyśmy u siebie nawzajem w domach, ale pewnego dnia ktoś urządzał imprezę klasową i zaprosił wszystkich, Bente poszła, a ja nie. Odrobiłam lekcje i pooglądałam telewizję z tatą, który mnie zapytał, czemu nie jestem u Bente, jak zazwyczaj w piątki. W poniedziałek Bente powiedziała mi, że na imprezie poszła do łóżka z Jonathanem. Jonathan nie był ani fajny, ani niefajny, taki średnio na jeża, trochę jak my. Siedziałyśmy na parapecie w sali lekcyjnej i pamiętam, jak Bente oparła się o szybę i pokazała mi Jonathana na szkolnym boisku, stał tak ze swoją paczką, grali w ziemniaka, a on nie trafił i musiał biec po piłkę. Zdjął czapkę i zmierzwił sobie włosy, po czym znów ją włożył i wrócił do gry. Bente i Jonathan nie zostali parą, ale w kolejnych miesiącach po tamtym zdarzeniu przyjaciółka

zwierzała mi się, że sypia z różnymi ludźmi, czasem z dorosłymi mężczyznami.

Zszokowało mnie to. Miałyśmy prawie po osiemnaście lat, ale jedynymi dorosłymi mężczyznami, jakich znałam, byli tata i nasi nauczyciele, inni dorośli mężczyźni znajdowali się poza moim zasięgiem i obszarem zainteresowania, ale Bente opowiadała mi, że faceci przyjeżdżają po nią autem i zabierają do siebie do domu, a potem następowały szczegóły, których wolałabym nigdy nie poznać.

Zapamiętałam jednak pewną rzecz, nad którą zastanawiałam się potem całe życie: odpowiedź Bente na moje pytanie, jak jej się to udaje. Bo ja w ogóle nie byłam sobie w stanie wyobrazić, jak to się odbywa, jak się podrywa dorosłych mężczyzn albo jest się przez nich podrywana.

– To proste – odpowiedziała. – Wszyscy chcą ze mną iść do łóżka. Dla nich nie ma dziewczyn brzydkich ani ładnych, są tylko dostępne i niedostępne, więc jeśli jesteś dostępna, możesz mieć każdego.

Gdy poznałam Espena, w mojej głowie rozległ się nagle głos Bente, podeszłam więc do niego i rzuciłam cześć. „To proste”, powiedział głos. Stałam obok niego w barze i już kilka godzin później poszłam z nim do domu.

Bente, gdy ostatnio z nią rozmawiałam, niedawno po raz drugi wyszła za mąż; nie miała dzieci. Mąż był od niej starszy o piętnaście lat, a ona wiedziała, że z kimś ją zdradza.

– To straszne – powiedziałam.

– W sumie to nie, lubię być sama w domu – odparła.

Ja też lubię być sama w domu. Tylko nie pamiętam, kiedy mi się to ostatnio zdarzyło. Espen sporo wychodzi, lecz Elise jest cały czas ze mną. A gdy ona siedzi w domu, to nie jestem tak naprawdę sama. Po prostu tkwię sama na kanapie do chwili, gdy idę sama spać, ale

najpierw muszę pójść do pokoju Elise, usiąść na podłodze obok łóżka, otulić ją kołdrą, jeśli ją z siebie skopała, odgarnąć jej włosy z twarzy, ostrożnie, by jej nie obudzić. Posłuchać jej oddechu, wyłączyć światło, jeśli jest zapalone, a potem myję sama zęby, czeszę sama włosy, sama się przebieram i kładę sama pod podwójną kołdrą.

Nico jest sama w domu cały czas. Mieszka sama, jest singielką, była nią, odkąd ją poznałam. Nie żebym sądziła, że ma trudności ze znalezieniem sobie kogoś do pary, po prostu zawsze byłam przekonana, że ona nie umie nikogo przy sobie utrzymać. Wydaje się osobą bezkompromisową. Ja nie pasuję do jej paczki, a inni ludzie na tej samej zasadzie nie pasują do jej życia.

Znam ją od jedenastu lat, a nigdy nie byłam z nią sam na sam. Pamiętam jeden raz, gdy się przypadkiem spotkałyśmy. Wracałam z zakupów i czekałam na metro, a ona nagle wyrosła przede mną jak spod ziemi, na tej samej stacji. Miałam w rękach dwie ciężkie torby, a ona niosła bukiet słoneczników. Była wiosna, już trochę za ciepło, żeby chodzić w kurtce. Ja swojej nie zdjęłam i byłam spocona. Nico miała kurtkę przewieszoną przez torebkę i widać było, że już się trochę opaliła.

Zobaczyła mnie i podeszła. Gdyby było odwrotnie, ja ruszyłabym w przeciwnym kierunku.

- Cześć – powiedziała z uśmiechem.
 - Cześć – odparłam.
 - Byłaś na zakupach? – spytała, patrząc na moja torby.
 - Tak.
 - Co kupiłaś?
 - Ubrania. Jedzenie.
- Kiwnęła głową.

- A ty? Kwiaty dla kogoś? – spytałam.
- Tak, to znaczy nie. Nie dla kogoś, te kwiaty są dla mnie.
- Aha – rzuciłam.
- Lubię słoneczniki.

Ja też lubię słoneczniki, ale nic nie powiedziałam. Do odjazdu metra zostało pięć minut, a ja nie wiedziałam, o czym mam z nią rozmawiać przez którąkolwiek z nich.

– Miło było cię zobaczyć – powiedziała Nico, po czym uśmiechnęła się i ruszyła przed siebie peronem.

Ja zaś zostałam tam, gdzie byłam, nie patrząc za nią; w pewnym sensie czułam ulgę, że sobie poszła, bo nie musiałam gawędzić, ale byłam też zaskoczona jej odejściem, zupełnie jakby można było po prostu wymaszerować sobie z niezręcznej sytuacji, zamiast w niej tkwić.

CO SIĘ DZIEJE PO WYJŚCIU RUNY

Runa zrobiła sobie spacer na plażę. Jadła loda i szła przed siebie szybkim krokiem, patrząc na grupki młodzieży okupujące brzeg w wieczornych godzinach, gdy rodziny z małymi dziećmi wróciły już do domów. Nastolatki siedzą w niewielkich gromadkach, tu i ówdzie widać kogoś z gitarą. Może są od niej trochę starsi, a może to wcale nie są nastolatki, tylko młodzi dorośli. Dość dojrzały, by imprezować na plaży, ale nie na tyle, by mieć własne rodziny. Runa usiadła na ławce przy kiosku, by popatrzeć na morze, ale głównie dlatego że miała ochotę pogapić się na jedną grupkę siedzącą w okolicy nabrzeża. Jakaś jej część chce do nich podejść, usiąść obok jakby nigdy nic i przyjąć piwo, które prędzej czy później ktoś by jej na pewno podał. Ale inna część ją powstrzymuje, bo Runa przecież nie jest jedną z nich, należy do swojej rodziny, mama i tata oczekują, że będzie się zachowywać, Gard zapyta o nią przed snem, a Elise poprosi, by połaskotać ją po plecach, zanim zaśnie, Nico i Espen będą chcieli, żeby przyniosła im z lodówki po piwie, a Britt jak zawsze zapyta, gdzie się wybiera, gdy Runa powie, że chce iść na spacer, sama.

Daleko się wybierasz? Jesteś z kimś umówiona? Kiedy wrócisz? Powiedziałaś mamie, że idziesz? Potrzebujesz pieniędzy? Pamiętałaś, żeby się posmarować kremem do opalania? Poznałaś kogoś? To chłopak? Jest miły? Nie pozwalaj, by chłopcy tobą pomiatali, każ im spadać na drzewo i dzwoń, jak tylko będą próbować jakichś numerów.

A teraz to Britt sobie poszła, nie mówiąc, dokąd się wybiera.

Runa stoi pod otwartym niebem i patrzy na dom przy końcu drogi.

Wysłała nową wiadomość do Nico:

„Powiedz Britt, że musi wrócić. Chcę, żeby wróciła”.

Wkłada komórkę do tylnej kieszeni i otwiera ogrodową furtkę, idzie przez trawnik i wchodzi do salonu, gdzie Anita stoi z pizamami Garda i Elise, krzycząc do dzieci, że mogą siedzieć do późna, jeśli tylko chcą, ale muszą się przebrać.

– Gdzie tata? – pyta Runa, a Anita patrzy na nią zaskoczona, jakby nie usłyszała, jak córka wchodzi.

– Poszli poszukać... – milknie i zerka na Elise, która chichocze na kanapie, nie mając najwyraźniej zamiaru wkładać pizamy.

– A gdzie? – dopytuje Runa.

– Chyba tak jakby wszędzie.

– Obejrzymy film? – Runa zawiesza to pytanie w powietrzu, a Garda i Elise krzyczą, że tak, i zbiegają po schodach do piwnicy. Anita chwytą ich w przelocie i wręcza im pizamy, po czym posyła za nimi Runę.

W piwnicznym pokoiku zaczyna się film, a Nico i ja siedzimy na plaży przy ognisku. Nico przeprosza i mówi, że musi siku, po czym biegnie do knajpy. Zostaję sama z Lukaszem, którego poznałyśmy kilka godzin wcześniej.

Grałyśmy z Nico w darta. To ona rzecz jasna miała ochotę zagrać, a ja się zgodziłam, mimo że nie jestem za dobra.

– To bardzo proste – powiedziała. – Rzucasz te strzałki i próbujesz trafić w środek.

– Znam zasady, po prostu mi nie wychodzi.

– Nie musisz w ogóle trafiać w środek, ważne, żeby wbić się w tarczę – uspokoiła mnie Nico, a potem rzuciła pierwszą strzałkę, rozpoczynając grę.

Było fajnie, a w każdym razie fajniej, niż się spodziewałam. Nie trafiłam w środek ani razu, ale udawało mi się trafiać w tarczę i prawie wygrałam jedną rundę. Nico zebrała strzałki i mi je podała, oświadczyła, że musi do toalety, po czym zniknęła. Zostałam sama w knajpie, do której weszłyśmy, nie było tu zbyt wielu innych klientów, pora lunchu dobiegła końca, a obsługa czekała na tych, którzy przyjdą zjeść obiad i się napić. Espenowi na pewno spodobałoby się to miejsce i przyłapałam się na zastanawianiu, czy był tu kiedyś z Nico, choć ona mi przecież powiedziała, że nigdy wcześniej nikogo tu nie zabrała.

Zaczęłam rzucać strzałki, mimo że Nico sobie poszła. Rzuciłam rundkę, która wyszła mi całkiem okej, zebrałam strzałki, po czym stanęłam za linią na podłodze i znów zaczęłam rzucać. Trafiłam w sam środek. Podeszłam do tarczy, by sprawdzić, czy mi się nie przywidziało, ale nie, strzałka wbiła się w kółeczko na środku.

– Nikt ci nie uwierzy – odezwał się jakiś głos, a ja odwróciłam się w jego kierunku i zobaczyłam faceta przy barze, który pił kawę i uśmiechał się do mnie.

– Ty przecież wszystko widziałeś – oświadczyłam i rozejrzałam się dookoła, by sprawdzić, czy ktoś jeszcze na mnie patrzył, ale byliśmy w tym kącie knajpy sami.

– Owszem, ale i tak nikt ci nie uwierzy – powiedział facet.

– Ale widziałeś to na własne oczy. Możesz zaświadczyć!

– Dobrze, mogę zaświadczyć – zgodził się i w tej samej chwili wróciła Nico.

– Trafiłam w sam środek – powiedziałam, a ona się uśmiechnęła.

– Stoisz trochę za blisko – odrzekła.

– Ale wtedy stałam za kreską – oznajmiłam. – Stałam za kreską, tu, gdzie ty teraz, i trafiłam w sam środek, on może poświadczyć – rzuciłam, wskazując na faceta, który wzruszył ramionami.

– No dobra, to może zagramy jeszcze jedną rundkę? – spytała Nico, a ja zobaczyłam, że facet wstaje i do nas podchodzi.

– Powiedz, że trafiłam – zwróciłam się do niego.

– Trafiła w sam środek, widziałem na własne oczy. Stała za kreską i w ogóle. To był perfekcyjny rzut.

– No to musisz to powtórzyć – oświadczyła Nico, po czym zwróciła się do faceta: – A ty możesz zagrać ze zwyciężczynią.

Płomienie w ognisku trzaskają, Lukas dorzuca szczapkę, z knajpy dochodzą śmiechy i muzyka, a za naszymi plecami fale uderzają o brzeg. Oto tu jesteśmy. Oto tu siedzę. Zastanawiam się przez chwilę i dochodzę do wniosku, że jestem zupełnie spokojna. Przez krótką chwilkę myślę o Espenie i Elise, o Trondzie i Anicie, Runie i Gardzie, ale potem zamykam oczy i odpycham do siebie tę myśl. Jakies

dziecko woła mamę przed knajpą, a ja instynktownie odwracam głowę w kierunku jego wrzasku.

– Masz może przy sobie telefon? – pytam, a Lukas wygrzebuje komórkę z kieszeni.

– Mogę go na chwilę pożyczyć?

– Proszę bardzo – mówi i podaje mi telefon.

Wstaję i odchodzę kilka kroków, wstukuję numer Espena, ale zmieniam zdanie, wyszukuję w sieci numer Anity i dzwonię do niej. Anita odbiera od razu.

– Cześć, to ja, Britt – mówię.

– Dzięki Bogu. Wszystko u was w porządku? – pyta ona, a ja mówię, że tak.

– Chciałam tylko zadzwonić i powiedzieć, że jestem z Nico.

– Tak, domyśliliśmy się. Wróćcie do nas?

– Owszem, za jakiś czas. A tak w ogóle to... – Nabieram powietrza i wyobrażam sobie Anitę, jej zatroskaną twarz, zmarszczone brwi, spojrzenie, które być może posyła teraz Trondowi i Espenowi. – W ogóle to chciałam przeprosić za dzisiaj, za to wszystko, co powiedziałam.

– Nie ma sprawy, zapomnijmy o tym.

– Naprawdę mi przykro – mówię. – To niesprawiedliwe z mojej strony, że się na was wyżyłam. Chciałam to tylko powiedzieć. I jeszcze to, że wrócimy do domu. Wydaje mi się, że jutro.

– Okej, a gdzie jesteście?

– Jesteśmy niedaleko i wrócimy do domu.

– Na pewno wszystko w porządku? Mogę po was przyjechać. Od razu wsiąść do auta.

– Nie ma potrzeby – odpowiadam. – Ale dzięki.

– Okej.

– Elise jest smutna? – pytam, obawiając się odpowiedzi Anity. Obawiając się, że będzie mi przykro niezależnie od tego, co ona powie.

– Elise czuje się dobrze, ale czeka na twój powrót.

Czuję ucisk w piersi.

– Okej.

– Espen poszedł cię poszukać – mówi Anita. – Mogę mu powiedzieć, żeby wracał do domu.

– Dobrze, bo ja do niego nie dzwoniłam – oświadczam i wiem, że brzmi to dziwnie, ale nie mam pojęcia, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Przekażę mu, że u ciebie wszystko dobrze i że niedługo wrócisz. Uważaj na siebie?

Anita wypowiada to zdanie tak, jakby to było pytanie, a ja mówię, że okej, po czym się rozłączamy. Wracam do Lukasa i oddaję mu telefon, a on wkłada go z powrotem do kieszeni i pyta, czy wszystko w porządku.

– Nie mów Nico, że dzwoniłam – proszę.

– Obiecuję, że nic nie powiem.

Anita dzwoni do Tronda i mówi, że mogą zakończyć poszukiwania i wrócić do domu. Trond spogląda na Espena i kiwa głową, odpowiada że tak, w porządku, zaraz będziemy.

– Jest w domu? – pyta Espen, a Trond się rozłącza i kręci głową.

– Anita z nimi rozmawiała. Wszystko u nich dobrze, ale wrócą być może dopiero jutro.

– Co powiedziała? Gdzie są i czemu będą dopiero rano?

– Nie wiem, stary, tyle tylko, że ich tu nie znajdziemy.

Poszli szosą aż do miasteczka, nie rozmawiali ze sobą, tylko maszerowali, Espen z przodu, a Trond z tyłu, obaj z rękoma w kieszeniach i wzrokiem albo skierowanym przed siebie, albo wbitym w ziemię.

– Nigdy wcześniej niczego takiego nie zrobiła – mówi Espen, gdy zawracają i ruszają do domu.

– Nie – odpowiada Trond.

– Co za osoba po prostu zostawia swoje dziecko? To ekstremalnie nieodpowiedzialne. Porzucić Elise w domku letniskowym i po prostu sobie gdzieś pójść.

Trond robi wdech i chce powiedzieć, że Elise nie jest przecież sama, że jest z nią jej tata i kilka innych osób, ale w końcu wypuszcza tylko powietrze ze słyszalnym westchnieniem. Idą całą drogę do domku bez słowa, podnoszą wzrok tylko wtedy, gdy mijają jakieś auto. Kiedy docierają na miejsce, Espen siada na kanapie i zaczyna grzebać w komórce, choć nie dociera do niego nic z tego, co czyta albo ogląda.

Runa włącza film i wyjmuje żelki, które schowała w szufladzie w swoim pokoju. Elise i Gard siedzą na jej łóżku, przykryli się

kołdrą, bo w piwnicy panuje chłód, choć na dworze zapowiada się kolejna tropikalna noc. Elise może wybrać sobie żelkę jako pierwsza i sięga po krokodyla.

– Weź jeszcze jedną – mówi Runa, a mała bierze jeszcze jednego krokodyla i dopiero wtedy Gard dostaje pozwolenie, by sięgnąć do torebki.

Potrząsa nią i zagląda do środka, wyraźnie czegoś szuka. Runa pochyla się nad nim i bierze żelkę na chybił trafił, po czym pozwala mu dalej badać zawartość torebki.

Runa często siedziała w tej piwnicy i oglądała filmy, na ogół razem z Nico. Słyszały rozmowy dorosłych dochodzące z góry, szum głosów przerywany śmiechem, na ogół Tronda, który śmieje się głośno i gwałtownie. Teraz na górze panuje cisza. Runa spogląda na Elise i Gardę, którzy patrzą w skupieniu na ekran. Znow bierze sobie żelkę, wsadza ją do ust bez patrzenia, jaki to smak, bo lubi wszystkie bez wyjątku.

– Czy teraz jest późno? – pyta nagle Elise.

– Późno?

– Mhm.

– Nie, chyba dopiero dochodzi dziewiąta.

– No to późno – stwierdza Gard.

– Może dla was.

– A kiedy będzie ciemno? – pyta Elise.

– Niedługo.

– Mama jest w domu czy jeszcze nie? – dopytuje mała, a Runa nie wie, ale odpowiada, że na pewno już wróciła.

– Mama najbardziej lubi być w domu. Ale chciałyby mieć balkon.

– Balkony są fajne – stwierdza Runa.

– Cicho – syczy Gard.

– Pluton to nie planeta, ale planeta karłowata – oświadcza Elise, a Runa wybucha śmiechem.

– To prawda – upiera się dziewczynka.

– Cicho – powtarza Gard i wskazuje na ekran.

Runa podaje mu torebkę z żelkami, a on odwraca wzrok od filmu, by do niej zajrzeć, znajduje żelkę, na którą ma ochotę.

– Nauczyłaś się tego w szkole?

– Nie, od mamy.

– A nauczyłaś się też, że Słońce to gwiazda?

– Tak, oczywiście – odpowiada Elise.

– Oczywiście – powtarza Runa.

– Ja jednak nie chcę oglądać filmu – oświadcza mała i zaczyna się gramolić spod kołdry. – Możemy wyjść na dwór i popatrzeć na niebo?

– Jasne, możemy. Idziesz z nami, Gard?

– Nie – odpowiada chłopiec, przyciskając do piersi torebkę z żelkami.

– Możesz zjeść jeszcze pięć, ale potem koniec, okej?

Runa mierzwi mu włosy, a on odpycha jej rękę, ale uśmiecha się, wyszukując kolejne żelki, które układa na kołdrze, w miejscu, z którego wypełzła przed chwilą Elise.

Dorośli siedzą w salonie, każde z nich osobno: Espen na kanapie, Trond przy stole, Anita w jednym z foteli. Runa trzyma Elise za ramiona i wychodzi za nią do ogrodu. Patrzą w niebo, które nadal jest całkiem jasne, ale słońce chyli się ku zachodowi.

– Zrobi się ciemno, ale tylko na chwilę – mówi Runa.

– Ale dlaczego?

– To ma jakiś związek z Ziemią i Słońcem – wyjaśnia dziewczyna.

– Nie do końca to łąpię.

– A można o tym poczytać?

– Jasne, można poczytać o wszystkim.

– To może o tym poczytaj?

Runa się uśmiecha i wyjmuje komórkę, wpisuje w wyszukiwarke dokładnie to, o co spytała Elise: Czemu latem nie robi się ciemno.

– To dlatego, że Ziemia jest ustawiona trochę na ukos – mówi Runa.

– Na ukos? O tak?

Elise przekrzywia głowę i unosi ręce, marszcząc przy tym brwi.

– No tak, to znaczy ziemia jest okrągła, ale... – Runa przypomina sobie, że w domu jest globus. Prosi Elise, by zaczekała na dworze, po czym idzie go przynieść. Globus stoi w pokoju Nico.

Pokój Nico jest mały i zagracony, łóżko nieposłane, przy poduszce leżą książki. Kilka z nich jest otwartych, ułożonych grzbietami do góry, jakby Nico właśnie je czytała i nie mogła znaleźć zakładki. Runa przeskakuje stos ubrań, zapewne tych, które Nico miała na sobie wczoraj i które po prostu rzuciła na podłogę przed pójściem spać. Zdejmuje globus z parapetu, ale podłączony jest do niego kabel, więc Runa odstawia globus, kuca i próbuje go odłączyć. Na podłodze jest mnóstwo kurzu, trzeba lekko odsunąć stolik nocny i wyszarpnąć wtyczkę z kontaktu. Runa zdmuchuje z niej kilka kotów kurzu. Wstaje i otrzepuje ubranie, po czym zdejmuje globus z parapetu i schodzi do Elise, która stoi przed domkiem ze wzrokiem uniesionym ku niebu.

Nikt z dorosłych nie pyta, po co jej globus. W ogóle o nic nie pytają, po prostu sobie siedzą. Idioci, myśli Runa.

Espen znów sprawdza komórkę Britt. Nie może jej odblokować, ale patrzy na powiadomienia o nieodebranych połączeniach, od niego samego, Anity i z nieznanego numeru.

– Możemy do niego zadzwonić – mówi nagle.

– Hm? – pyta Trond, unosząc wzrok znad blatu stołu, w który się wgapiał, rozmyślając, co mają teraz zrobić.

– Do tego człowieka, który chciał się połączyć z Britt, mamy przecież jego numer. Czemu nie pomyśleliśmy o tym wcześniej?

– Bo to nie twoja komórka – stwierdza Anita.

– Nie, ale to komórka Britt, a tak się składa, że jej tu nie ma, dlatego właśnie zadzwonimy.

– A ja uważam, że nie powinniśmy tego robić – powtarza Anita i wstaje z fotela, próbuje mu odebrać telefon.

– Przestań – mówi Espen i się od niej odsuwa. Wyjmuje swoją komórkę i wpisuje numer, czeka na połączenie.

– To gabinet lekarski – oświadcza, wysłuchawszy najpierw odczytanej przez automat wiadomości. – Myślicie, że Britt ma romans z jakimś lekarzem?

– Na bank – stwierdza Trond.

Anita przewraca oczami. Espen patrzy na telefon leżący na jego kolanach, a w mózgu kotłują mu się obrazy żony uprawiającej seks z mężczyzną w lekarskim kitlu.

– Może po prostu była u lekarza – mówi Anita, kładąc nacisk na trzy ostatnie słowa.

– Była u lekarza? – pyta Espen.

– No tak, na konsultacji.

– Konsultacji? – powtarza Espen.

– Rany boskie, może miała wizytę i zadzwonili, żeby potwierdzić nową datę albo omówić wyniki badań czy coś innego.

– Ale Britt nie jest chora – rzuca Espen.

– Nie trzeba być chorym, żeby chodzić do lekarza – stwierdza Anita.

Espen wykrzywia twarz w grymasie, po czym kręci głową.

– No nie – oświadcza. – Ona na sto procent ma z nim romans.

Minęło wiele czasu, odkąd Espen ostatnio próbował czegoś z Nico. Ja byłam w ciąży, a on wyszedł na miasto z chłopakami z pracy. Ale gdy wszyscy inni wrócili do domu, on pojechał do Nico. Otworzyła mu drzwi w za dużym T-shircie, bosa. Była jesień, prawie zima, środek nocy. Espen przemknął obok niej, wszedł do mieszkania, opadł na kuchenne krzesło, wypił dwie szklanki wody na hejnał i dopiero wtedy, patrząc na kompletnie trzeźwą Nico, pojął, jaki jest pijany. Ale ona się na niego nie zezłościła, tylko go trochę wyśmiała, pytając, czy może uciekł z domu, a on ją przytulił, nie chciał wypuścić, ona pozwalała mu się ścisnąć, jego zimowa kurtka była lodowata i trochę wilgotna, pada śnieg?, zapytała Nico i poprosiła, by Espen ją puścił. Marzła i powtórzyła swoją prośbę, bo trzymał trochę za mocno, zaczął ją całować w szyję, w bark, szczecina na jego twarzy drapała, śmierdział alkoholem, jakimś słodkim napojem do drinków, przyciskał ją do siebie i próbował zdjąć z niej T-shirt, jednocześnie wyswobadzając się ze swoich własnych ubrań, kręciło mu się w głowie i był rozgrzany, a Nico pachniała tak dobrze, ale nagle się ocknął, bo ona podniosła głos i krzyknęła, żeby przestał, a do niego dotarło, że być może krzyczy nie pierwszy raz, puścił ją i ruszył tyłem do korytarza, nie patrząc jej w oczy, a Nico poszła za nim ostrożnym krokiem, powiedziała, że jeśli chce, to może spać na kanapie, ale ona nie ma zamiaru dłużej się tak z nim zabawiać.

– Będziesz ojcem – oświadczyła, a Espen pomyślał o mnie, siedzącej w domu, ciężarnej, o moich zaciśniętych ustach, krótkich włosach i mięśniach zuchwy, które drgały, gdy mnie irytował, co wtedy miało miejsce cały czas, bo byłam wystraszona, zła i ciężarna,

a on nie umiał zrobić niczego dobrze, teraz zaś zniszczył całą swoją relację z Nico, to się musiało w końcu stać.

– Dobranoc – rzucił i sobie poszedł.

A potem nigdy o tym nie rozmawiali.

CO ROBI BEZE MNIE ELISE

Elise bierze globus na kolana i ostrożnie go obraca. Runa wyjaśnia, gdzie mieszkają, wskazując miejsce na kuli ziemskiej, po czym unosi pięść i mówi, że tu jest Słońce. Otwiera dłoń, udaje, że promieniuje z niej światło, że pada na palec Elise umieszczony na Norwegii, wysoko na górnej półkuli globusa.

– Więc tak to wygląda – mówi Runa i opuszcza dłoń, siada bliżej małej i patrzy razem z nią na cały świat.

– Ale Słońce nie gaśnie – mówi Elise, formułując to trochę jak stwierdzenie, a trochę jak pytanie.

– Nie, ono płonie cały czas.

– To my się ruszamy, Słońce tylko tak jakby wschodzi i zachodzi, a naprawdę jest nieruchome.

– Zgadza się.

Elise zerka na niebo, na którym słońce chyli się ku zachodowi. To znaczy zaraz zniknie. Unosi kciuk, chcąc zakryć nim świecącą kulę, tak jak ja kiedyś zakryłam mknącą po niebie kometę.

– Nie jest takie duże – mówi.

– Faktycznie, stąd nie wydaje się wielkie – stwierdza Runa. – Ale tak naprawdę jest ogromne.

– Większe niż Ziemia – mówi Elise, powoli opuszczając rękę. Obraca globus, po czym zerka na Runę.

– Mogę dostać loda?

– Teraz?

– Tak?

– No, właściwie czemu nie. Zapytamy Garda, czy też ma ochotę?

– Tak!

Obie wstają, zostawiając globus na trawie. Idą do domu, Elise bierze Runę za rękę i mówi, chyba bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego:

– Kocham lody.

Elise często mówi, że kocha różne rzeczy. Lody. Dmuchawce. Naleśniki. Pizamy. Ja nie mam w zwyczaju mówić, że coś Kocham. Ja lubię różne rzeczy, dalej się raczej nie posuwam. Mawiałam, że Kocham Espena. Myślałam, że Kocham Elise, chociaż z reguły mówię jej tylko, że jest moim zdaniem wspaniała. A tak właściwie to głównie ją proszę, by pamiętała o różnych rzeczach. Pamiętaj, żeby się ciepło ubrać. Pamiętaj o drugim śniadaniu. Pamiętaj o rękawiczkach. Pamiętaj o kremie do opalania. Pamiętaj o pizamie, dopiero co ją wyprałam. Pamiętaj, że obiad będzie o piątej. Pamiętaj, pamiętaj, pamiętaj.

Nie przypominam sobie też, by mama używała słowa „Kocham”, ani w odniesieniu do taty, ani do mnie. Kochała lato, tego jestem pewna. Uwielbiała, gdy przychodził maj i robiło się ciepłej, a potem następowało wczesne lato z kwitnącymi drzewami i lekkim wietrzykiem, gdy wszystko stawało się zielone i łatwiejsze, wtedy mawiała czasami: „Kocham lato”.

Ona też mnie prosiła, żebym pamiętała o różnych rzeczach, aż w końcu przestała mnie prosić o cokolwiek.

A gdy odeszła, tata zupełnie zamilkł.

Jedną z ostatnich rzeczy, które powiedziałam do niego przed jego śmiercią, było to, żeby pamiętał o wstawieniu resztek do lodówki. Zjedliśmy razem obiad, a ja nagotowałam dość jedzenia na kilka dni, bo podejrzewałam, że tata nie ma siły przyrządzać sobie posiłków, i nie podobała mi się myśl, że może nie odżywia się dość dobrze.

Posprzątałam w kuchni, zagraconej kuchni mojego dzieciństwa, która wydawała mi się dużo mniejsza, niż ją zapamiętałam. Przetarłam wszystkie powierzchnie, podzieliłam jedzenie na porcje

i zostawiłam pojemniczki na blacie, by ostygły, zanim tata wstawi je do lodówki. Pamiętaj, żeby trochę wystygło, zanim to wstawisz do lodówki, tato, powiedziałam, po czym uścisnęłam go i wyszłam. Mam nadzieję, że wiedział, że to znaczyło „kocham cię, tato”.

Słowo „kocham” źle mi się układa w ustach, jest ciężkie, wypowiedzenie go wydaje mi się niewłaściwe. Ale czuję je przecież, wiem, jaka to emocja, gdy mnie wypełnia. Tyle tylko że ona nigdy nie wypełnia mnie po brzegi, w odróżnieniu od tylu innych uczuć. Pojawia się, nagle, a potem mi gdzieś znika.

Więc zamiast tego mówię inne rzeczy.

Pamiętaj, żeby zgasić światło, zanim pójdziesz spać, Espen.

Pamiętaj, że Elise ma jutro rano piłkę ręczną, Espen.

Pamiętaj, żeby nastawić zmywarke, Espen.

Nico również należy do osób, które kochają różne rzeczy i powtarzają to na prawo i lewo jak gdyby nigdy nic. Nico jest beztroska, radosna, kocha wszystko i wszystkich. Chyba w ogóle nigdy nie słyszałam, by mówiła cokolwiek negatywnego, zawsze powtarza, że wszystko się ułoży, że będzie dobrze albo że ta czy tamta osoba nie miała niczego złego na myśli. Na pewno łatwo w ten sposób patrzeć na życie, jeśli nigdy nie doświadczyło się żadnych trudności. Jeśli faktycznie nikt, kto kiedykolwiek z nami rozmawiał, nie miał na myśli niczego złego. Jeśli się okazuje, że naprawdę jest dobrze. I jeśli rzeczy się układają.

Nico należy do osób, które się zatrzymują, jeśli mają kamyk w bucie, nie przejmują się faktem, że dokądś idzie, przeznaczają na swoje sprawy tyle czasu, ile jej potrzeba, zdejmują but, wytrząsa z niego kamyk i wkłada but z powrotem, zupełnie bez stresu. A jeśli trudno go zdjąć, to siada i przeznaczają na to więcej czasu, rozwiązuje sznurówki, wyswobadza stopę, potem z powrotem je zawiązuje i wstaje. Zmusza tym samym wszystkich, żeby szli wolniej albo w ogóle przystanęli. A potem nas dogania, nie przepraszając ani słowem. Idzie dalej, zupełnie jakby nic się nie stało. I nie wiem, co mnie bardziej irytuje: to, że ona przeznaczają czas na takie rzeczy, czy też fakt, że sama nigdy tego nie robię i na ogół pokonuję całą drogę do domu z kamykiem w bucie.

Nico należy do osób, które, będąc w odwiedzinach, po prostu wstają, by sobie przynieść coś do picia, zanim gospodarze cokolwiek jej zaproponują. Przechadza się po naszym mieszkaniu, jakby należało do niej. Pewnego razu wzięła sobie naszą nić dentystyczną,

gdy ja też byłam w łazience, stała obok mnie, kiedy szczotkowałam zęby.

Należy do osób, które mówią, żebyśmy sobie chwilę posiedzieli po skończonym obiedzie, gdy naczynia do pozmywania piętrzą się w zlewie. Że się ruszy za pięć minutek. A ja nie mam pięciu minutek, zawsze jest coś do zrobienia, zawsze coś czeka, zawsze z czymś się spieszy. Nie jestem w stanie odczekać pięciu minut, jeśli widzę, że trzeba przetrzeć stół, pozmywać naczynia, wstawić resztki do lodówki, albo gdy zapika pralka i wiem, że powinnam wyjąć z niej ubrania i je rozwiesić. Pięć minutek, mówi Nico, uśmiecha się, siedzi, pije kawę, wino albo wodę i po prostu sobie czeka, a nic z tego, co powinno się zrobić, nie jest robione.

Ja bym tak nigdy nie potrafiła.

Nico zajmuje w świecie dużo miejsca, ale robi to w taki sposób, jakby to miejsce należało do niej. Jakby nie musiała o nie walczyć, jakby miała pełne prawo być widzianą, zajmować przestrzeń, być tu i teraz.

I może ma rację, ale zajmowanie miejsca jest trudne. Cały czas starałam się jak mogłam, by zajmować go jak najmniej, nikomu nie zawadzać, i dokąd mnie to doprowadziło? Do ciasnego życia, w którym już nie ma dla mnie przestrzeni.

I teraz siedzę tutaj, na plaży, z Nico, która się głośno śmieje, i Lukaszem poznanym przed kilkoma zaledwie godzinami, który nadal tu z nami jest. Zapewne dlatego, że chce spędzić więcej czasu z Nico. Wszyscy chcą być z Nico.

– Cały dzień doskonale się spisywaliśmy – mówi Nico nagle.

– Jak to? – pyta Lukas.

– Jedliśmy dobre jedzenie, źle graliśmy w darta i rozpaliliśmy całkiem niezłe ognisko, konwersowaliśmy jak osoby dorosłe,

poznaliśmy się bliżej, pokonywaliśmy mniejsze i większe problemy. Więc zasługujemy na drinka. Ja stawiam. Kto ma ochotę?

– Ja poproszę piwo – mówi Lukas.

– Pilsa?

– Jakiegokolwiek.

– To kupię ci pilsa. Britt?

– Pils brzmi dobrze – mówię.

– Trzy pilsy zaraz zostaną podane – rzuca Nico i wstaje, biegnie do knajpy.

– Ona zawsze taka jest? – pyta Lukas.

– Tak.

– Długo się znacie?

– Dosyć.

– Czemu nie widziałem was nigdy wcześniej, skoro jesteście tu co roku?

– Więcej czasu spędzamy tam niż tutaj – mówię, wskazując w stronę domku letniskowego. – Nico nigdy wcześniej nas tu nie zabrała, to znaczy do tej knajpy.

– Jest was więcej?

– Jeszcze kilka osób – mówię, nie zgłębiając tematu.

– Ale ty i Nico chciałyście dziś spędzić wieczór tylko we dwie?

– Mhm.

– Dobrze jest pobyć trochę samemu. Zakładam, że byś powiedziała, gdybyś chciała, żebym sobie poszedł.

– Tak. Albo Nico by ci to powiedziała.

Nico już schodzi ze schodków przy knajpie, niosąc trzy piwa. Trzyma je za szyjki butelek, podaje nam dwa z nich, po czym opada na piasek, wylewa odrobinę ze swojej butelki.

– Ej, ej, ej – woła, gdy Lukas chce upić łyk. – Najpierw musimy wznieść toast.

- No tak – odpowiada Lukas. – Przepraszam. Za co pijemy?
- Za lato – mówi Nico.
- Za lato – powtarzamy chórem, stukając się butelkami. A potem upijamy po łyku.

Tymczasem Elise w końcu zasnęła w domku letniskowym, pozwolono jej spać w łóżku moim i Espena, jest przykryta moją kołdrą, a Espen leży obok niej, czuje zapach jej włosów, jej skóry, która pachnie słodko i słono, kremem do opalania i latem, Elise zjadła loda tuż przed snem, Espen zresztą też, jest najedzony, zmęczony i niespokojny, leży bezsennie i nasłuchuje, czy nikt przypadkiem nie przyjeżdża, czy nie trzaskają drzwi, czy nie wrócimy zaraz do niego, nie wrócimy do nich, choć Anita powiedziała przecież, że będziemy dopiero następnego dnia. Anita i Trond się położyli, leżą przytuleni, Anita opiera głowę na ramieniu Tronda, mają otwarte oczy i oboje się zastanawiają, gdzie jesteśmy, co się dzieje, czy wszystko będzie dobrze. Runa leży w swoim pokoju w piwnicy, sąsiadującym z pokojem Elise i Garda, słyszy kroki małych stópek zbliżające się do jej drzwi i siada w łóżku, by zobaczyć Garda, który wchodzi do pokoju i gramoli się do jej łóżka, pyta, czy może z nią spać, bo czuje się samotny bez Elise.

– Myślisz, że Nico opiekuje się Britt? – pyta Gard, a Runa kiwa głową, podając mu jedną ze swoich poduszek.

– Jakbym ja był smutny, tobym chciał, żeby opiekowała się mną ciocia Nico.

– Ja też – odpowiada Runa.

– Myślisz, że one teraz śpią? – pyta Gard, ziewnąwszy.

– Możliwe.

– A myślisz, że jak się obudzimy, to one już będą z powrotem?

– Na pewno.

– Śpij dobrze, Runa.

– Ty też.

WSZYSTKO

Wściekłość nie jest zbyt atrakcyjną emocją. Gdy ktoś się smuci i płacze, to od razu się angażujemy: Co się stało? Czemu płaczesz? Kto był dla ciebie niedobry? Ale kiedy ktoś się wścieka, próżno szukałby empatii. Ugrałabym więcej na smuceniu się niż na wściekaniu, ale nie mam nad tym kontroli. Bo to już zaszło za daleko. Ale w mojej wściekłości skrywa się przecież cała kupa innych emocji. Rozczarowanie, niemoc, rezygnacja, samotna żałoba po wszystkim, co poszło nie tak jak powinno, po tym, że nie jestem kimś więcej niż osoba, jako która skończyłam.

Tyle że ja jeszcze nie skończyłam jako ktokolwiek.

Bo nic się nie kończy, dopóki nie następuje koniec.

Dzieciom wolno się buntować. To element naszego rozwoju, uczenia się, że mamy wolną wolę, własne zdanie, emocje, które żyją w naszym ciele, zaciskają nam pięści, unoszą nogi do tupania, mrowią w brzuchu, otwierają usta, zaciskają gardło, zbijają się w gulę z tyłu podniebienia, napełniają oczy łzami. Dorośli muszą się nauczyć panować nad emocjami, to, co się czuje, trzeba ubierać w słowa, być dyplomatycznym i otwartym, przełykać łzy, opanowywać wściekłość, uspokajać agresję i liczyć do dziesięciu.

Ja liczyłam do nieskończoności.

Nadal liczę.

Ale wiem przecież, że to nie ich wina. To nie wina Tronda i Anity, to nie wina Nico ani Espena czy Runy, Garda lub Elise, to nie wina indywidualna, bo oni są tylko współwinni, jak pojedyncze puzzle układające się w obrazek tego za ciasnego domku letniskowego, który mnie po prostu przytłoczył.

Nie jest to też wina mamy. Ani taty. Ani też żadnej innej osoby, która coś dla mnie znaczyła, to nie jest niczyja wina. Lecz to również nie do zniesienia, że nie mogę tego na nikogo zwalić. Chcę skierować swoją wściekłość ku komuś, kto ją przyjmie, zabierze ją ode mnie i powie: Zasługiwałem na to, przepraszam, nie chciałem, rozumiem, że to było dla ciebie trudne, pozwól, że teraz spróbuję ci ulżyć, pozwól mi sobie pomóc.

Pewnego razu, gdy Elise była w okresie buntu, położyła się na podłodze marketu, więc wzięłam ją na ręce i wyniosłam, nie patrzyłam nikomu w oczy i wstydziałam się, bo jak to wyglądało? Wiem przecież, że wszystkim dzieciom czasami odbija, że to samo w sobie nie wystawia mi świadectwa jako rodzicowi, nie znaczy, że zawiodłam, te sekundy w sklepie stanowiły nic więcej jak tylko migawkę z naszego życia, ludzie może to rozumieli, a może nie, być może ktoś współczuł Elise, może ktoś myślał ze współczuciem o mnie, ale ja się wstydziałam tak czy inaczej.

Jeśli pozwolisz sobie czuć swoją emocję, ta emocja zniknie albo zmieni się w coś innego.

Po płaczu przychodzi ulga.

Po krzyku pojawia się spokój.

A po tym, jak się kogoś ochrzani? Wtedy przychodzi wstyd.

Wszystko przechodzi w coś innego.

Chciałabym, żeby wtedy, gdy mi zupełnie odbiło, ktoś wziął mnie w objęcia i wyniósł z domku letniskowego, żeby mnie wzięli na ręce i zabrali na dwór, położyli na trawie i pozwolili, żebym się tam wyrzeszczała, tak by nikt tego nie widział, by emocje się ze mnie wylały i wsiąkły w ziemię.

Dopijamy piwa i Lukas chce nam kupić jeszcze jedną kolejkę. Espen leży bezsennie w domku letniskowym i grzebie w komórce, jego twarz jest niebieskawa w świetle bijącym od telefonu. Trond obraca się na drugi bok we śnie, zabierając przy tym Anicie trochę kołdry. Ona zaś na chwilę się budzi i mocniej przytula do Tronda, by móc się z powrotem przykryć. Runa i Gard zasnęli w jednym łóżku, dziewczyna dostaje parę snapów od koleżanek bawiących się na imprezie, jej komórka rozbłyskuje, a potem znów gaśnie. Elise mówi przez sen, a Espen się wzdryga, myśli, że mała się obudziła, ale ona kończy niezrozumiałe zdanie kilkoma cmoknięciami i głębokim wdechem. Espen dalej grzebie w komórce, czyta wiadomości o trzęsieniach ziemi i wojnie, ogląda filmiki z kotami i psami, wyciszywszy dźwięk, ogląda deskorolkowe triki i czyta przepisy na dania, których nigdy nie ugotuje. Algorytmy są nieskończone, a jego czas przed ekranem wynosi sporo ponad siedem godzin na dobę. Moja komórka nadal leży zablokowana na stole w salonie, nic się na niej nie wydarzyło, odkąd Espen próbował się do mnie dodzwonić. Gdy moja lekarka dzwoniła drugi raz kilka godzin wcześniej, trafiłam w sam środek tarczy do darta i wydałam z siebie dziki triumfalny wrzask, po czym rozejrzałam się, by sprawdzić, czy ktoś to zauważył. Bullseye.

Tymczasem Lukas wraca na plażę i podaje nam butelki.

– Za co teraz pijemy? – pyta.

– Twoja kolejka, twój toast – odpowiada Nico.

– Okej, w takim razie za zdrowie Britt – proponuje Lukas.

– Moje?

– Za Britt! – krzyczy Nico.

- Nie – protestuję. – Wymyślcie coś lepszego.
 - No to może za brittsommar, lato Britt? – proponuje Lukas.
 - Co to znaczy?
 - Szwedzi tak mówią na babie lato, gdy w październiku, w okolicach imienin Britt albo Brygidy, znów robi się ciepło.
 - Poważnie? Brittsommar? To jest prawdziwe słowo?
 - Jak najprawdziwsze.
 - Zostałaś słowem – mówi Nico z uśmiechem, wyciąga swoją butelkę w naszym kierunku i czeka, aż się z nią stukniemy.
 - Okej, za brittsommar – zgadzam się. – Chociaż trwa jeszcze zupełnie normalne lato.
 - Ale mamy nadzieję na lato Britt – rzuca Nico, a Lukas jej przytakuje.
- Ja już nic nie mówię, tylko unoszę swoją butelkę w geście toastu.

– Jesteście w związku małżeńskim? – pyta Lukas.

Ja potakuję, zaś Nico przecząco kręci głową.

– A, bo ja myślałem, że wy... – wskazuje na nas obie szyjką butelki.

– Co takiego? – pytam, a Nico wybucha śmiechem.

– Myślał, że jesteśmy małżeństwem – mówi. – Ja i ty.

– Nie! – krzyczę. – Nie jesteśmy razem!

– Britt jest żoną mojego dobrego przyjaciela – wyjaśnia Nico. – A ja w ogóle nie jestem niczyją żoną. Co w sumie głupio się składa, bo uwielbiam śluby i wesela.

– A ja nie – odpowiadamy z Lukaszem chórem.

– Jak można nie lubić ślubów? To celebrowanie wiecznej miłości!

– Śluby przypominają mi pogrzeby – stwierdza Lukas.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami.

– Ja tam nie lubię pogrzebów – mówię.

– Ja też nie – stwierdza Nico.

– Ani ja – godzi się z nami Lukas.

– Ale chętnie wybrałabym się na swój własny – rzuca Nico nagle.

– Jeśli kiedyś zachoruję, to chciałabym urządzać sobie pogrzeb przed śmiercią. I brać w nim udział, we wszystkim, co się na takich uroczystościach dzieje.

Nic nie mówimy, a ona ciągnie:

– Chcę posłuchać przemów, uścisnąć ostatni raz przyjaciół, sypnąć garść ziemi na trumnę i zdecydować, gdzie będę pochowana, albo może rozsypać prochy w miejscu, gdzie będę chciała zostać rozsypana.

– A reszta będzie musiała powtórzyć to samo po twojej śmierci? – pyta Lukas.

– Prawie to samo, bo już beze mnie. Bo przecież życie też będzie prawie takie samo, tyle że mnie już nie będzie.

Wstaję i oświadczam, że chcę się trochę przejść.

– Wszystko w porządku? – pyta Lukas, a Nico na mnie patrzy, ale ja kiwam głową i wskazuję w kierunku plaży, mówię, że pójde pobrodzić trochę w wodzie.

Zostawiam ich i odchodzę.

Jeśli teraz umrę, to mój pogrzeb będzie smutnym przedstawieniem. Kto właściwie na niego przyjdzie? Tata nie żyje, mama odeszła, moi dziadkowie umarli, nie mam rodzeństwa, żadnych ciotek ani wujków, żadnej rodziny oprócz tej, którą stworzyłam – ta przynajmniej istnieje, chociaż jest niewielka. Espen byłby smutny, Elise byłaby samotna, tak jak ja byłam samotna, gdy odeszła od nas mama. Przyszliby moi współpracownicy albo w każdym razie wysłaliby kwiaty, na wstęgach u wieńców widniałyby standardowe słowa pożegnania. „Spoczywaj w pokoju”, „Dziękujemy za wszystko”, „Wyraży głębokiej tęsknoty”. Czy ktoś by za mną głęboko tęsknił? Czy mieliby mi za co dziękować? Czy po śmierci będę spoczywać, czy po prostu przepadnę, przestanę istnieć na takiej samej zasadzie, na której nagle istnieć zaczęłam? Moje życie to przerwa w wieczności, krótki przystanek, chwila, którą spędzam tu z wami wszystkimi, i co ja z tą chwilą zrobiłam? Wchodzę do morza, czuję, jak fala obmywa mi stopy, moje buty zostały na plaży przy ognisku, a ja tu stoję, patrząc na ciemną wodę, czuję piasek między palcami, stoję w morzu do połowy łydek, czuję ciepło letniej nocy otulające moje ciało, wiatr we włosach, widzę księżyc i gwiazdy, a potem nie widzę niczego, bo zamykam oczy.

Nie chcę przyjść na własny pogrzeb, to będzie ogromne rozczarowanie, podobnie jak było nim moje życie. No cóż. Umiera się tak, jak się żyło.

Wchodzę głębiej do wody, moczę dół szortów, a część mnie chce się po prostu położyć na powierzchni, tak jak zrobiłam to rano tego dnia.

– Tu spoczywa Britt – mówię głośno i robię kolejny krok.

– Pragnęła dla siebie dobrego życia, ale nie wiedziała, co to znaczy.

Fale uderzają o moje uda, spokojne, ciepłe jęzory wody, chłodniejsze niż powietrze wokół mnie.

– Była może trochę surowa, wobec samej siebie i innych, ale miała dobre serce, chciała dobrze. Pragnęła tylko, żeby wszystko przebiegało właściwie, porządnie, żeby było jak należy. Czuła, że życie jest jej coś winne, ale nie wiedziała co. Chciała być szczęśliwa, ale trudno być szczęśliwym, gdy jest się tak wściekłą. Nie miała zamiaru nikogo zranić, po prostu zawsze jakoś jej nie wychodziło, zawsze szło nie tak jak trzeba. A teraz dobiegło końca.

Mam zrobić jeszcze jeden krok, lecz nagle czuję, że wszystko, czego pragnę, to wrócić, zacząć od nowa. Odwracam się tak raptownie, że prawie tracę równowagę, ale zaraz wbiegam z powrotem na plażę, niemal rzucam się na piasek kawałek od ogniska, układam ręce wzdłuż ciała i oddycham, wdech i wydech, wdech i wydech, unoszę wzrok ku niebu nad moją głową, a potem widzę twarze Lukasa i Nico patrzące na mnie z góry.

– Wszystko w porządku?

– Tak – mówię cicho.

– To wyglądało trochę tak, jakbyś się przewróciła – mówi Lukas.

– Biegliśmy cię ratować – dodaje Nico.

– Tu spoczywa Britt – mówię i zamykam oczy.

Nico gładzi mnie po włosach i policzku.

Jeśli wściekłość jest siłą, to smutek jest słabością. Tak przynajmniej zawsze myślałam. A ja chcę przecież być silna, chcę być siłą, kimś, kto sobie radzi, nigdy się nie poddaje, komu udaje się wszystko. Chcę wyglądać jak ktoś, kto osiąga różne rzeczy, nie potrzebuje pociechy ani pomocy, ale przez ostatnie lata potrzebowałam być może pomocy i nie potrafiłam o nią poprosić.

Nico prosi o pomoc. Przy najmniejszych rzeczach. Prosi ludzi o pomoc w zrobieniu obiadu, nakryciu do stołu, wytarciu pozmywanych naczyń, sprzątnięciu, wniesieniu zakupów do domu, zapleceniu jej włosów, posmarowaniu pleców kremem do opalania. Prosi o wszystko, czego potrzebuje, a ja być może nie patrzyłam na nią nigdy jako na osobę słabą, ale jej nie lubiłam. Irytowałam się, że prosi o pomoc przy wszystkim, ale chyba najbardziej nie lubiłam tego, że udawało jej się to, z czym ja sama nie dawałam sobie rady.

Ubieranie swoich potrzeb w słowa.

To jest dopiero życie, mówią ludzie, gdy jest im miło. To jest dopiero życie, urodzić się, podrosnąć, wydorosnąć, zestarzeć się. Oczywiście po drodze może się wydarzyć milion albo i miliard różnych rzeczy, ale z reguły nie dzieje się zbyt wiele, z reguły życie to długi ciąg powtórek i dubli, kupa spraw, które trzeba, musi się albo powinno. Gdy byłam młodsza, tak bardzo tęskniłam do dorosłości, a teraz, gdy leżę z zamkniętymi oczami na rozgrzanym piasku w późną letnią noc, oddałabym wszystko, co mam, i jeszcze więcej, by znów stać się tą stęsknioną nastolatką.

Co bym zrobiła inaczej?

Wszystko.

Wszyscy wokół mnie widzą, że jestem wściekła. Widzą to ci, którzy mnie znają, ci, którzy mnie nie znają zresztą też. Ale nikt mnie nigdy nie spytał o przyczynę tej wściekłości.

Espen cały czas mnie pyta, czy jestem wściekła. Rozwściecza mnie to jeszcze bardziej.

Wściekasz się?

Owszem, wściekam.

Jesteś wściekła cały czas.

Tak, cały czas.

I na tym się kończy rozmowa.

Nigdy mnie nie spytał, dlaczego tak jest.

Dlaczego się tak wściekam?

Wściekam się, bo nikt mnie nigdy nie zapytał, czemu się wściekam.

Wściekam się, bo świat jest pełen idiotów, wliczając w to mnie samą.

Wściekam się, bo lekarka poprosiła, żebym sobie odpuściła i nie martwiła się na zapas, dopóki nie będziemy miały wyników.

Wściekam się, bo jestem na tych wakacjach, na które w tym roku nie chciałam jechać i na które w ogóle nigdy nie chciałam jeździć.

Wściekam się, bo wakacje nigdy nie są takie, jak sobie wyobrażam, gdy leżę w łóżku w marcu i wreszcie pozwalam sobie na myśli, że gdzieś tam w dalekiej przyszłości mieszka lato. Wyobrażam sobie zieloną trawę i ciepłe powietrze, hamak i małą chatkę w szwedzkich lasach, wyobrażam sobie ciepły lipcowy deszcz i mokry asfalt, który schnie zaraz po ulewie, wyobrażam sobie dzień za dniem bez snucia żadnych planów, Elise, która się śmieje, i Espena, który gotuje dla nas obiad, wyobrażam sobie późne wieczory i wczesne ranki. Odkąd byłam dzieckiem, marzyłam o wiecznym lecie, a gdy lato w końcu nadchodzi, gdy lipcowy deszcz pada na moje ciało, ja leżę tutaj, na plaży przy domku letniskowym, do którego nie znoszę jeździć.

Wściekam się, bo nikt mnie nie słucha.

Wściekam się, bo nie mówię tego, co myślę.

Wściekam się, bo już nigdy nie będę młoda.

Wściekam się, bo nie chcę się zestarzeć, ale również ze strachu, że nie będzie mi to dane.

Wściekam się, bo jestem żoną Espena.

Wściekam się, bo jestem rozczarowana.
Wściekam się, bo życie jest niesprawiedliwe.
Wściekam się, bo muszę być sobą i trudno się zmienić.
Wściekam się, bo nie chodzę na jogę.
Wściekam się, bo nienawidzę swojej pracy.
Wściekam się, bo jestem zmęczona.
Wściekam się, bo mama odeszła i nigdy nie wróciła.
Wściekam się, bo chciałabym zrobić to samo.
Wściekam się, bo tak wiele rzeczy mnie boli.
Wściekam się, bo nienawidzę naleśników.
Wściekam się, bo jestem uwięziona w swoim życiu.
Wściekam się, bo tak wielu ludzi ma gorzej ode mnie.
Wściekam się, bo nie wiem, czego chcę.
Wściekam się, bo nikt nie może mi tego powiedzieć.
Wściekam się, bo to nie mija.

Nie prosiłam się na ten świat.

Nie prosiłam, by dorosnąć.

Nie prosiłam o nic z tego, co się dzieje.

A teraz tu jestem. W ciele, które się sypie, na świecie, który płonie, w codzienności odtwarzanej na pętli, w małżeństwie, o którym nawet nie wiem, czy kiedykolwiek było dobre, w macierzyństwie, co do którego miałam takie nadzieje, i gdy kogoś w nim rozczarowuję, to rozczarowuję nie tylko siebie, ale też Elise.

Nie wspominając już o wszystkich innych

zupełnie

chujowych rzeczach

dziejących się

na świecie

tu

każdego
jednego
dnia
i to się dzieje raz po raz po raz
nachodzi jedno na drugie
jak kakofonia kompletnego
GÓWNA

W podstawówce wszyscy mi mówili, że moje imię, Britt, brzmi jak „dritt”, czyli gówno. Britt Dritt. Dritt Britt.

Dobrze to do siebie pasuje.

Wszechświat jest nieskończony.

Mam poczucie, że całe to gówno też jest nieskończone.

Ale teraz leżę tutaj, na plaży.

Ja też jestem nieskończona.

Więc co mam zrobić ze skończonością?

Czuję się bezpiecznie, leżąc na plaży między Lukaszem a Nico, słuchając, jak rozmawiają ze sobą ściszymi głosami nad moją głową. Zupełnie jakbym była małym dzieckiem, które poszło się położyć spać i słyszy trwającą nadal imprezę dorosłych. Pamiętam niejasno, że mama i tata organizowali imprezy, że byli radośni – gdy byłam mała, zanim jeszcze zapanowała cisza i zanim podrosłam.

– Masz kogoś na stałe? – pytam.

Otwieram oczy i widzę, że oboje spoglądają na mnie z wysoka.

Powtarzam to pytanie, patrząc na Lukasa.

On kręci głową.

– Jak sobie kogoś znajdziesz, to musisz mi obiecać jedną rzecz.

– Okej.

– Nie czekaj, aż twoja osoba partnerska cię o coś poprosi. Po prostu to zrób. Zrób to, i rób to jeszcze lepiej. Każdego dnia.

– Ale co mam robić? – pyta Lukas.

– Wszystko – odpowiadamy z Nico chórem.

Knajpa wkrótce się zamyka, a Nico mówi, że zdążymy wypić jeszcze jedną kolejkę.

– Ostatnią – zastrzega, unosząc rękę.

– Teraz moja kolej – mówię i ruszam boso przez plażę, ale nagle sobie przypominam, że nie mam ze sobą portfela.

To Nico płaciła za wszystko cały dzień, kupowała mi jedzenie i picie. Moja karta została w domku letniskowym. Zawracam i natykam się na Nico, która za mną poszła.

– Proszę – mówi, podając mi swoją kartę.

– Zwrócę ci pieniądze – zapewniam.

– Nie ma sprawy – rzuca Nico, po czym wskazuje w kierunku toalety i znika na schodach.

Podchodzę do baru. Zrobiło się tłoczno, niektórzy tańczą, para młodych ludzi siedząca na stołkach barowych rozmawia, aż nagle jedno z nich zaczyna wywrzaskiwać refren płynącej z głośników piosenki. Patrząc na nich i nie słysząc, jak barman pyta, czego się napiję. Zwracam na niego uwagę dopiero, gdy powtarza pytanie, chwytając mnie delikatnie za ramię.

– Ostatnia kolejka? – pyta, a ja kiwam głową, unoszę trzy palce.

Otwiera lodówkę i wyciąga trzy butelki piwa, otwiera je sprawnie otwieraczem zawieszonym przy pasku.

– Coś jeszcze?

– A masz coś do jedzenia?

– Mam chipsy.

– To poproszę małą paczkę czipsów.

– Nie ma sprawy – mówi barman i sięga po torebkę.

– Albo wiesz co, wezmę od razu trzy – dodaję szybko, a on się uśmiecha i podaje mi dwie kolejne paczki.

Następnie wbija kwotę w terminal, a ja zbliżam do niego kartę Nico, z nadzieją, że nie będę musiała podawać pinu. Transakcja przechodzi, a ja biorę paczki z chipsami w ramiona, podnoszę również trzy butelki, po czym wracam do ogniska, gdzie Lukas aż klaszcze w dłonie na widok tego, co przyniosłam.

– Chipsy – mówi.

– Chipsy – kiwam głową.

– Idealnie – stwierdza Lukas i bierze ode mnie piwo, a ja upuszczam torebki prosto na piasek.

Gdy byłam nastolatką, wyobrażałam sobie, że wszyscy żyją w ten właśnie sposób. Siedzą na plaży, piją piwo, za późno się kładą. Sama przesiadywałam w swoim pokoju i byłam zazdrosna. Nienawidziłam ich, tych wszystkich ludzi, którym się w życiu udawało, którym było tak łatwo, tych, którzy po prostu zajmowali swoje miejsce w świecie. Mam poczucie, że moje miejsce w świecie jest małe, a w miarę jak dorastałam, nie byłam w stanie zająć go więcej.

Nigdy nie brałam tego, o czym marzyłam, tylko po prostu to, co mi dawano.

Odgłosy dobiegające z knajpy cichną i zaczyna się robić widno.

– Macie ochotę na spacer? – pyta Lukas.

– To taki twój słaby tekst na podryw? – pyta Nico.

– Nie, pytam szczerze i uczciwie. Czy chcecie iść na spacer, zanim pójdę do domu i się położę.

– Chętnie – mówię.

Nico rzuca, że dla niej to też okej, więc pomagam jej wstać z piasku, po czym idziemy za Lukaszem.

– Znam takie jedno fajne miejsce. To niedaleko – mówi on.

Idziemy kawałek plażą, wychodzimy na drogę i maszerujemy dalej ulicą, przy której stoją nieliczne domy. Docieramy do cmentarza, Lukas i Nico idą przodem, ja zaś wlokę się za nimi. Nie lubię cmentarzy. Nie dlatego, że się ich boję, nie jestem przesądna ani nic z tych rzeczy, ale te miejsca wydają mi się tak jakby święte, jak gdyby można było tam przebywać tylko przy okazji pogrzebów albo odwiedzin na czyimś grobie. Albo gdy ciebie składają w ziemi. Ten konkretny cmentarz wygląda bardziej jak park, wszędzie są wielkie drzewa, między nagrobkami wytyczono wąskie ścieżki, patrzę na daty, pochowani tu ludzie żyli dawno. Niektórzy nawet sto lat temu. Wiele nagrobków pokrywa zielona roślinność i mech, ale wygląda na to, że ktoś nadal dba o te mogiły. To również jest praca. Dbanie o groby. Wszystko jest pracą.

– No chodź! – krzyczy Nico. Odwróciła się i macha do mnie ręką.

Uciszam ją, ale przyspieszam kroku, by ich dogonić.

– Po co mnie uciszasz, przecież jesteśmy tu sami?

Nico się rozgląda. Słońce już wstało, ćwierkają ptaki. W bezpośrednim sąsiedztwie cmentarza nie ma żadnego domu

i Nico ma rację, jesteśmy tu zupełnie sami.

– Po prostu ćśśś – syczę, a ona się śmieje.

Zaraz potem nabiera powietrza i najpierw zaczyna śpiewać, a potem wrzeszczeć. Lukas patrzy na nią zaskoczony, po czym zaczyna jej wtórować. Stoją przede mną i się drą, ryczą, w końcu głos Nico się załamuje i przechodzi w śmiech.

– O co ci chodzi? – pyta.

– Jesteśmy na cmentarzu – odpowiadam.

– No i co z tego?

– Czy w takich miejscach nie powinno się... tak jakby – wskazuję na groby i patrzę jej w oczy – okazać trochę szacunku?

– Britt – mówi Nico, a potem kładzie mi dłonie na barkach i odwzajemnia moje spojrzenie. – Życie jest bardzo hałaśliwe. Gdyby ci ludzie żyli, na pewno by chcieli powrzeszczeć z nami.

– Nienawidzę, kiedy tak robisz – oświadczam.

– Jak?

– Nieważne – mruczę.

– Powiedz, proszę. Jak?

– Wszystko jest dla ciebie po prostu takie łatwe.

– Ale co?

– Wszystko!

Nico szczyrzy zęby w uśmiechu. A potem nabiera powietrza i mocnej opiera ręce na moich barkach, jej dłonie są ciepłe, ale nie wilgotne. Ja mam zawsze wilgotne dłonie. Zaciskam pięści, ale pozwalam, by mnie tak trzymała.

– No dalej – mówi Nico. – Wiem, że ci nie jest łatwo. Pokrzyycz sobie. Możesz udawać, że wrzeszczysz na mnie. Właśnie – otwiera szeroko oczy i widać, że jest z siebie zadowolona. – Nawrzeszcz na mnie, ochrzaj mnie, bo wszystko jest dla mnie takie łatwe, po prostu to zrób.

Otwieram usta, ale zaraz je zamykam.

– No dalej, Britt – mówi Lukas. – Jesteśmy tu sami.

– Przecież żyjesz! – krzyczy Nico, a ja zamykam oczy i wrzeszczę.

Słyszę mój głos, moje serce, ptaki, a potem słyszę też Nico i Lukasa, słyszę swój oddech, gdy nabieram na nowo powietrza, słyszę swoje stopy tupiące na żwirowej ścieżce, na której stoimy, słyszę nasze głosy tego letniego poranka po imprezie, słyszę wycie Lukasa i śmiech Nico, potem słyszę tylko samą siebie, a potem nie słyszę już nic.

Usiedliśmy pod drzewem przy kilku nowszych nagrobkach, jeden z nich jest zaledwie o dziesięć lat starszy niż ja. Patrzę na daty, ścieżki, które ktoś wytyczył wokół kwiatowej rabatki przy nagrobku, i zasadzony na samym środku różany krzew. Zrywam z niego kilka zwiędłych kwiatków, rzucam je za plecy, a potem odchylam głowę w tył, patrzę na drzewo nad naszymi głowami.

– Ostatnią rzeczą, jaką powiedziała mi mama przed śmiercią – mówi nagle Nico – było: „Nie idź, tak nam razem przyjemnie”.

– Kiedy to było? – pyta Lukas.

– Odwiedziłam ich w domu, zjedliśmy razem obiad i obejrzeliliśmy film. Tata i ja piliśmy piwo, a mama wino. To był zwykły dzień w tygodniu, więc musiałam iść, wrócić do domu i położyć się spać, bo następnego dnia miałam wcześnie wstać i pójść na uniwersytet, miałam wykład rano. Nie pamiętam już, z jakiego przedmiotu, i to wcale nie było, kurwa, takie ważne, ale powiedziałam, że muszę iść, i oboje ich przytuliłam. Tata rzucił, żebym zadzwoniła, jeśli będę potrzebować pieniędzy, to też w sumie miłe ostatnie pożegnanie. Bezużyteczne, ale miłe.

Nico siedzi obok mnie, splotła dłonie na kolanach i oparła o nie brodę.

– A potem zginęli w wypadku samochodowym. Tak się czasem dzieje.

– Nie idź, tak nam razem przyjemnie – mówię cicho.

Nico parska krótkim śmiechem.

– Piękne słowa – stwierdza Lukas.

– Jeśli umrę przed powrotem do domu, to moimi ostatnimi słowami do Elise i Espena będzie, że nie mogę już znieść ich jebanego marudzenia i że mają się ogarnąć. Niezłe ostatnie słowa, żeby je potem nieść przez życie – stwierdzam i znów pochylam się nad różanym krzewem i zrywam kwiat, który nie jest zwiędły. Również wyrzucam go za siebie.

– Właściwie powinno się mieć jakieś ostatnie pożegnanie, które wygłasza się przed podróżą, na wypadek śmierci w drodze – stwierdza Lukas.

– Mnie by się nie chciało mówić „dzięki za wszystko” przed każdym wyjściem do sklepu – mówi Nico.

– No właśnie, nikt tego nie robi, a przecież można umrzeć za każdym razem, gdy się idzie na zakupy – rzuca Lukas.

Nico wydaje z siebie jęk.

– No tak, ale, rany boskie, można umrzeć w każdej chwili, a czasem trzeba powiedzieć ludziom, żeby się ogarnęli. I czasem nie ma się już siły na czyjeś marudzenie, tak to po prostu wygląda.

– Ostatnie, co powiedziała do mnie moja mama, to było, żebym nie zapomniała stroju na wuef – mówię, nie patrząc na nich. – Ale ona nie umarła. To znaczy, może już teraz nie żyje, nie wiem. Kazała mi pamiętać o stroju na wuef, a potem odeszła i już nigdy nie wróciła.

– Szit – mówi Lukas.

– Najbardziej mnie w tym wszystkim irytuje to, że ja nigdy nie zapominałam stroju na wuef, to mama o wszystkim zapominała. Na

przykład o wyłączeniu suszarki do włosów z kontaktu, o wywiadówkach i zrobieniu drugiego śniadania, zapominała o wszystkich takich nudnych praktycznych rzeczach i to ja musiałam o nich za nią pamiętać. Gdy to powiedziała, właśnie wychodziłam z domu, miałam torbę ze strojem na wuef w ręku. Zezłościłam się na nią tylko i poszłam bez pożegnania.

Pozostali przez chwilę milczą. Ogarnia mnie wstyd, że im to wyznałam.

– Moja ciotka zmarła na guza mózgu – mówi Lukas.

– Moje kondolencje – odpowiadam.

– Była stara? – pyta Nico.

– Nie, miała czterdzieści osiem lat. Strasznie smutna historia. To była starsza siostra taty, on w chwili jej śmierci miał czterdzieści pięć lat. A ja piętnaście. Ale byliśmy przy jej śmierci. I ostatnie, co powiedziała, to było... – Lukas zaczyna się śmiać, a ja i Nico mierzymy go wzrokiem, nie mamy odwagi mu zawtórować.

– Powiedziała: „See you later, alligator” – śmieje się dalej Lukas.

– See you later – powtarza Nico.

– Alligator – mówię ja.

A potem wszyscy troje wybuchamy śmiechem.

Odprawiamy Lukasa do domu. On długo przytula Nico, która mówi, że wkrótce znów się zobaczą. Bo ona przyjeżdża do domku letniskowego we wrześniu. Lato trwa dla niej niemal wiecznie. Zaczyna się wcześnie i kończy późno. A teraz znalazła sobie nowego przyjaciela.

– Miło było cię poznać, Britt – mówi Lukas i w pierwszej chwili wygląda to tak, jakby wyciągał do mnie rękę, ale potem pyta, czy chciałabym się przytulić. Mówię, że tak, i wpadam w jego ramiona, Lukas trzyma mnie mocno, jakbyśmy się znali od dawna, jakby się

cieszył, że mnie widzi, cieszył się, że istnieję, że stoję teraz właśnie tu, właśnie z nim.

– Mam nadzieję, że będziesz miała w tym roku brittsommar – szepce.

Nasze auto stoi zaparkowane pod wielkim drzewem, bo chcieliśmy je zostawić w cieniu. Wsiadamy do niego z Nico, opuszczamy wszystkie szyby i się kładziemy. Nico rozkłada fotel kierowcy, mnie przypada w udziale tylne siedzenie, na którym zwijam się w kłębek. Zасыpiam natychmiast.

Budzi mnie trzaśnięcie drzwi auta, widzę, że Nico wysiada, by rozprostować nogi, po czym wraca i wtyka głowę do środka przez szybę tuż nad moją twarzą.

- Myślisz, że jestem gotowa, by nas odwieźć do domu?
- A która godzina?
- Wpół do dziewiątej.
- A czujesz, że jesteś gotowa nas odwieźć do domu?
- Chyba tak. Jesteś gotowa na powrót?
- Nie.
- No to jedziemy.

Podnosimy siedzenia, ale zostawiamy opuszczone szyby, a potem Nico wycofuje auto i ruszamy w drogę. Wychylam głowę przez okno i czuję wiatr we włosach. Gdy niecałe pół godziny później wjeżdżamy na żwirowy podjazd domku letniskowego, siedzimy jeszcze przez chwilę po zatrzymaniu auta i patrzymy przed siebie, po czym Nico się do mnie odwraca.

- Jak się czujesz?
- Okej – mówię.
- Masz wyrzuty sumienia?
- Cały czas je mam.
- A wcale nie musisz.

– Ja cię w ogóle nie lubiłam – rzucam, cały czas wyglądając przez przednią szybę.

– Nie musisz mnie lubić – stwierdza Nico. – W ogóle nic nie musisz.

Nabieram powietrza i myślę o wszystkim, co muszę, bo inaczej świat się wokół mnie zawali i przepadnie, ale potem odwracam się do Nico, która siedzi rozluźniona na fotelu kierowcy. A ona odwzajemnia moje spojrzenie i uśmiecha się ostrożnie, po czym odpina pas z cichym kliknięciem i otwiera drzwi. Już ma wysiąść, ale nagle zamiera, odwraca głowę i znów na mnie patrzy.

– Chcesz najpierw wejść do domu sama? – pyta.

– Nie, chcę wejść razem z tobą.

– Okej, to chodź.

Nikt się jeszcze nie obudził, a w każdym razie nikt nie wstał. Nico ziewa i mówi, że chętnie zdrzemnie się jeszcze pół godzinki. Spoglądam na nią, gdy wspina się ostrożnie po schodach, starając się nie nadeptywać na skrzypiące stopnie.

Stoję przez chwilę pod drzwiami sypialni, którą dzielę z Espenem, a potem naciskam klamkę i wchodzę do środka.

Elise śpi, mimo że już minęła dziewiąta. Espen się obudził, leży i grzebie w komórce. Gdy wchodzę, odkłada telefon, ale nic nie mówi. A potem budzi Elise słowami.

– Mama już jest.

Mama już jest.

Britt już jest.

Już jestem.

Siadam na łóżku, a Elise pakuje mi się na kolana. Pyta, co robiłam, gdzie pojechałam, czy było fajnie, czy spotkałam kogoś, kogo wcześniej nie znałam, czy oglądałyśmy z Nico konie, o których Nico kiedyś opowiadała, czy się kąpałyśmy, bo Nico tak się lubi

kąpać, ty też się właściwie lubisz kąpać, mamó, musisz tylko mieć odwagę, żeby to robić, czy pojechałyśmy z Nico daleko autem, czy jadłyśmy coś na obiad i czy jadłyśmy coś po obiedzie, czy za nimi tęskniłyśmy, zastanawiałyśmy się, co oni robią, czy położyłyśmy się późno, bo ona tak, było jej wolno nie spać do późna, Runa zrobiła jej makijaż i pomalowała paznokcie, popatrz na moje ręce, ty też możesz zrobić sobie makijaż i pomalować paznokcie, Runa ma mnóstwo kosmetyków, a tacie się zachciało spać, a jej nie, ale potem jednak tak.

– To wszystko brzmi bardzo miło, kochanie – mówię.

– Było okej – stwierdza Elise, po czym biegnie do salonu, by sprawdzić, czy ktoś jeszcze wstał.

– Próbowałem dzwonić – mówi Espen i podaje mi komórkę, na której wyświetla się mnóstwo powiadomień o nieodebranych połączeniach. A niżej, pod jego imieniem, widnieje niezapisany numer.

– Muszę tylko zadzwonić w jedno miejsce – rzucam.

– Britt – odzywa się Espen, najpierw cicho, potem głośniej, ale ja wybieram numer i podnoszę komórkę do ucha, wychodząc z domu, na żwirowy podjazd, na słońce. Rozlega się sygnał, a potem po drugiej stronie rozbrzmiewa znajomy głos.

– Doktor Jacobsen – mówi lekarka, a ja raz przełykam ślinę, po czym wypowiadam swoje nazwisko.

– Dzwoniła pani – rzucam.

– Tak – słyszę odpowiedź.

A potem lekarka zaczyna mówić, ja zaś tylko jej słucham. I w końcu się rozłączam.

BRITTSOMMAR

Leżę w wodzie na plecach i dryfuję z zamkniętymi oczami.

Gdy mam uszy nad powierzchnią, słyszę odgłosy miasta i czyjś śmiech w jednej z saun, plaśnięcie, kiedy ktoś skacze do wody z nabrzeża. Do miasta przyszła jesień, w morzu jest trzynaście stopni, przynajmniej zgodnie z tabliczką przy wejściu na pływający pomost z saunami. Oddycham spokojnie i dryfuję. Pod wodą słyszę tylko swoje serce i ciało unoszące się w stanie nieważkości.

Nikt nie wywrzaskuje mojego imienia, nikt nie krzyczy mamó, nikt niczego ode mnie nie potrzebuje.

Tamtego dnia nie było mowy o ciszy. Pokłóciliśmy się z Espenem jak nigdy wcześniej. Pokłóciliśmy się do tego stopnia, że musieliśmy posłać Elise na spacer z pozostałymi. Pokłóciliśmy się z intensywnością napadu migreny, huraganu, wiadomości o poważnej chorobie. Kłóciliśmy się tak długo, aż w końcu czuliśmy się zupełnie puści, a potem pokłóciliśmy się jeszcze trochę.

Espen nazwał mnie nieodpowiedzialną.

Nazwał mnie dziecinną.

Nazwał mnie samolubną.

Zarzucił mi wszystko to, co ja zarzucałam jemu, odkąd na świat przyszła Elise, a może jeszcze wcześniej.

I miał przecież rację. Gdy po prostu wstałam i sobie wyszłam, byłam nieodpowiedzialna, dziecinna i samolubna. Ochrzaniłam męża i jego przyjaciół – moich przyjaciół – podczas wyjazdu, który miał być miłym urlopem. Ale ja nie spędzałam miłego urlopu. Przechodziłam kryzys.

Spodziewałam się kryzysu wieku średniego, ale miałam nadzieję, że przyniesie ze sobą nową fryzurę, intensywny reżim treningowy, którego będę przestrzegać, nowe stroje kosztujące więcej, niż zwykłam dotychczas wydawać na ubrania, i może, co czasem sobie wyobrażałam, kochanka. Nie wiem, czy to właśnie kryzys wieku średniego mnie nawiedził, może był to po prostu zwykły kryzys życiowy, zjawisko już nie tak atrakcyjne. Które w dodatku nie przyniosło ze sobą istotnej poprawy ani mojego wyglądu, ani życia seksualnego.

Nie nadeszło zresztą jako kryzys, po prostu sobie wzbierało, niezauważalnie, w ciągu wielu lat.

Noszę okulary. Może o tym nie wspominałam, ale je noszę. Właściwie to potrzebowałam okularów całe życie, ale nikt na to nie wpadł, dopóki nie zaczęłam się zbliżać do wieku nastoletniego. I było tak, że moje prawe oko zaczęło pracować jakby intensywniej, tak że lewe, słabsze, działało coraz gorzej, jakby przestało nadążać. Zostało to odkryte na rutynowym badaniu lekarskim w szkole, trzeba było sobie zasłonić najpierw lewe, a potem prawe oko, spojrzeć na plakat i odczytać literki.

Zasłoniłam lewe oko, wszystko poszło dobrze. Prawe wykonywało swoją pracę, jak zawsze.

Zasłoniłam sobie prawe oko i niczego nie widziałam. Tylko mgłę. Nie byłam nawet w stanie rozróżnić literek, wszystko zlewało mi się w jedną masę.

Zostałam umówiona do okulisty i dostałam okulary.

Gdy je włożyłam, nie mogłam pojąć, co się dzieje. To znaczy nie mogłam zrozumieć, że świat tak właśnie wygląda. Długo dawałam sobie radę z jednym okiem widzącym jako tako, ale w okularach dostrzegłam nagle liście na drzewach, a nie tylko fakt, że stało przede mną drzewo i że było zielone.

– To normalne, że się widzi liście na drzewach? – zapytałam głośno, kierując to pytanie głównie do samej siebie, a potem się rozplakałam.

Gdy wróciliśmy do domu z wakacji, miałam wrażenie, że zaszła jakaś zmiana, że jakoś to będzie. Ale chociaż pokłóciliśmy się tak, że coś moim zdaniem w nas pękło i być może mogło zostać zbudowane na nowo, to godziny, dni i z czasem tygodnie zaczęły się znów do siebie upodabniać. Moje życie było takie samo jak przed wyjazdem na urlop, choć miałam wrażenie, że wzburzyłam wszystko, co tylko mogłam, żeby zobaczyć, czy coś się da zmienić. Nocami nie sypiałam, w moim wnętrzu rozlegał się krzyk, który nigdy nie cichł, a Espen po prostu leżał obok mnie i chrapał.

Chciałam wrzasnąć, że coś się musi zmienić, coś się musi stać, że musimy coś zrobić, że nic nie może być tak jak wcześniej. Chciałam wrzasnąć, żeby się obudził, gdyby zaś zapytał – a zapytałby na pewno – o co chodzi, zaczęłabym wrzeszczeć jeszcze głośniej. Ale milczałam. Wrzask siedział w moim wnętrzu i nie chciał wyjść na światło dnia. Byłam z tym sama.

Ale nie jestem z tym sama.

Może i nie mogę zebrać całej mojej paczki, żebyśmy ze wszystkich sił zaczęli krzyczeć, że nic nie może być takie jak wcześniej. Gdybym nawet to zrobiła, gdybyśmy szli w pochodzie i krzyczeli do utraty tchu, to i tak wcale nie byłoby pewności, że coś się zmieni. Mogłabym zebrać wszystkie kobiety, które znałam, wszystkie, które w życiu spotkałam, widziałam, z którymi chodziłam do klasy, wszystkie, z którymi stałam w sklepie, które poznałam w ogonku do kibla w różnych lokalach, wszystkie mijane przeze mnie w drodze do pracy kobiety, wszystkie te, obok których siedziałam w poczekalniach, które prosiłam o radę w internecie, wszystkie, które obgadywałam, i te oglądane przeze mnie na komórce, gdy

malowały się na internetowych klipach, wszystkie, które widziałam w telewizji i filmach, kobiety, z którymi siedziałam w tych samych salach kinowych, w tych samych samolotach, pociągach i autobusach, wszystkie, z którymi rozmawiałam przez telefon, gdy dzwoniły do mojej firmy, i te, z którymi należałam do grupy mam z maluchami, kobiety, które rodziły tej samej nocy, gdy ja rodziłam Elise, i razem krzyczałyśmy, pękałyśmy i byłyśmy takie przerażone, a potem takie szczęśliwe, wszystkie te, które nikogo nie urodziły, a mimo to krzyczały z bólu.

Gdybyśmy wszystkie szły równym krokiem, skandując, że mamy dość, że chcemy zmiany, pragniemy zmienić świat, zmienić same siebie, zmienić wszystko, to i tak wcale nie ma pewności, że cokolwiek by się stało. Dziewiąty marca to zupełnie zwyczajny dzień, tak jak zwyczajnym dniem jest siódmy marca, mimo że ósmego dnia tego miesiąca wiele z nas krzyczy co roku z całych sił. Ja też jestem jedną z takich osób.

Ale mój krzyk może coś zmienić. Może nie w całym świecie, ale w moim własnym świecie już tak.

Mogę zmienić swoje życie. Leżałam bezsennie, wrzeszcząc w duchu, raz po raz, wywrzaskiwałam jak refren: Nic już nie będzie takie samo. Nic już nie będzie takie samo. Nic już nie będzie takie samo.

Człowiek nie zawsze sam z siebie rozumie, co jest nie tak, albo w ogóle, że coś jest nie tak. Jeśli nie widzi się liści na drzewie, to po prostu wychodzi się z założenia, że nie powinno się ich widzieć. Jeśli całe życie jest się wściekłym, to się wierzy, że tak ma być, że jest nas wielu i z pewnością mnóstwo innych ludzi nosi w sobie tę samą wściekłość. Cały świat jest wielkim chórem ludzi krzyczących unisono kurwa, kurwa, kurwa, ludzi, którym się ulewa, wrzeszczących na tych, których kochają, trzaskających drzwiami i tłukących szklanki, chodzących na spacer i wyjących w lesie, płaczących głośno z twarzą wciśniętą w poduszkę, przeciskających się przez ludzką ciżbę w autobusach, pociągach albo na miejskich placach, wydzierających się, ryczących, a później patrzących na siebie z zewnątrz z poczuciem wyczerpania, żałujących wszystkiego i chcących wszystko odwołać – chociaż to przecież niemożliwe. Bo ich wrzask wydostał się na światło dnia. I rozprzestrzenia się jak przeziębienie. Jak wirus.

Jest wiele powodów, dla których czuję wściekłość. Jednym z nich jest to, że nigdy sobie na nią nie pozwalałam, próbowałam ją w sobie dusić. Moje wściekanie się jest jak błędne koło, wściekam się, bo nie powinnam być wściekła, wściekam się, bo czuję się tak, jak się czuję, wściekam się, bo nie powinnam była być wściekła, wściekam się, bo mimo wszystko czuję wściekłość, i tak to się we mnie mieli, od rana do wieczora. Strasznie irytujące.

A jeszcze bardziej irytujący są ci ludzie, którzy znajdują sens życia i chcą o tym wszystkim opowiadać. Jak często chadzasz na spacer? Próbowałaś zrobić sobie przerwę? Rok wolnego? Chrzkań

to. Może ci nie przejdzie, ale musisz nad tym jakoś sama zapanować.
Na to też się można wściec, ale nic więcej nie mamy.

Chujnia z grzybnią.

Pluskam w wodzie dłońmi i stopami.

A potem nabieram powietrza.

Nadal żyję.

Na to się nie mogę złościć.

Nie powiedziałam nikomu o znalezionym w piersi guzku. Nikomu się nie zwierzyłam z tego, co się stało w moim życiu. Nie mam nikogo, komu bym mogła o tym powiedzieć. Nico z pewnością by nam wszystkim wyznała, że była u lekarza i miała robioną biopsję. Zawsze dzieliła się smutkami i zmartwieniami, dostawała od nas pociechę i wsparcie. Ja też potrzebowałam pociechy i wsparcia, ale o nie nie poprosiłam. Więc gdy lekarka zadzwoniła do mnie z wiadomością, że nie znaleźli w biopsji niczego niepokojącego, że jestem zdrowa, ale dobrze, że przyszłam, że to sprawdziłam, to nie miałam nikogo, komu mogłabym przekazać tę wiadomość i z kim mogłabym się cieszyć. A było mi głupio mówić cokolwiek już po fakcie. Myślałam, że zachorowałam, ale jednak jestem zdrowa.

Komu się mówi takie rzeczy?

Swoim przyjaciołom.

Rodzinie.

Wszystkim, którzy chcą słuchać.

A ja powiedziałam to tylko sobie samej, zaś po rozmowie z lekarką, która chciała, bym jeszcze przyszła do niej na pogawędkę, po prostu umówiłam kolejną wizytę i nie wspomniałam o tym nikomu ani słowem. Gdy siedziałyśmy w jej gabinecie tydzień po moim powrocie z wakacji, lekarka zapytała, jak się czuję.

– Dobrze – odparłam.

– Może pani rozmawiać ze mną też o sprawach niemających związku z pani ciałem – powiedziała.

– Ma pani na myśli uczucia?

– Na przykład.

– Uczucia mają związek z ciałem.

– Owszem, mają też na nie wpływ.

– Na przykład złość – rzuciłam.

– Często się pani złości?

Westchnęłam.

– Często się pani czuje zmęczona?

Wzruszyłam ramionami.

– Wydaje mi się, że często bywa pani pozostawiana samej sobie – powiedziała lekarka.

– Czy to diagnoza?

– Nie, raczej refleksja i pytanie w jednym.

– Aha.

– W ciągu tygodnia pracy wypisuję wiele zwolnień. Niektórzy ich potrzebują, bo dopada ich przeziębienie czy inne niegroźne choroby. Inni muszą iść na zwolnienie z uwagi na dolegliwości psychiczne. Ale czasami wypisuję zwolnienia ludziom, którzy potrzebują przerwy.

– Wszyscy potrzebują przerwy – stwierdziłam.

– Tak – rzuciła lekarka i przysunęła swoje krzesło trochę bliżej mojego.

– Właśnie miałam urlop – wyjaśniłam. – Wróciliśmy kilka dni temu.

– Uważam, że ludzie wyjeżdżający na urlop z rodziną potrzebują przerwy po powrocie do domu.

– Urlopu od urlopu? – spytałam.

– Tak, albo, jak wspominałam, przerwy. Chwili spokoju. Czasu na oddech. Nierobienia niczego.

Nabrałam powietrza, czułam ucisk w piersi.

– Ma pani dzieci? – zapytałam.

– Dwójkę.

– A ja tylko jedno.

– Jedno to też duża radość i mnóstwo roboty.
– Moja matka potrzebowała przerwy – wyznałam, nie patrząc na nią.

– Ach tak?

– I po prostu odeszła.

– Ile pani miała wtedy lat?

– Dwanaście.

– Musiało być niełatwo.

– W życiu nic nie jest łatwe.

Lekarka nie odpowiedziała.

– Nie mogę iść na zwolnienie trzydzieści lat po tym, jak mama mnie zostawiła.

Lekarka nadal milczała.

Ja też już nic więcej nie powiedziałam.

A ona odjechała z krzesłem z powrotem za biurko i chwilę stuknęła w klawiaturę, włożyła okulary i spojrzała na ekran, na którym być może wyświetlała jej się właśnie moja karta choroby.

– Gdy była pani u mnie przed wakacjami, pobraliśmy krew do badania – oświadczyła.

– I co, mam dobre wyniki? – spytałam.

– Widzę niedobór witaminy D.

– Aha.

– Można się czuć od tego zmęczonym.

– Ale nie aż tak, by potrzebować zwolnienia.

– Cóż, zazwyczaj nie – oświadczyła lekarka i zdjęła okulary, przetarła szkła z taką miną, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym znów wsunęła je na nos. Następnie kiwnęła krótko głową, jakby potwierdzając własną decyzję. – Wypiszę pani receptę na tabletki z witaminą D, które będzie pani brała każdego dnia przez

dwa tygodnie, a potem przyjdzie pani na wizytę kontrolną. Ma pani może jakiś zaległy urlop?

– Nawet dość dużo – przyznałam.

– W takim razie sędzę, że powinna sobie pani zrobić urlop po urlopie.

– Ale nigdzie się nie wybieram.

– Idealnie. Zostanie pani w domu. Odpocznie. Zrobi coś miłego.

– Na to też dostanę receptę? – spytałam, a lekarka posłała mi uśmiech.

– W formie ustnej.

– Dobrze.

– Widzimy się za dwa tygodnie?

– W porządku.

Gdy wróciliśmy z domku letniskowego, Nico wysłała mi kilka filmików z jogą. Jakaś kobieta z Teksasu gnę się na nich, ćwiczy i rozciąga. Leżałam na podłodze przed ekranem, próbując naśladować jej pozycje. Niewiele z nich mi się udawało, ale znalazłam ulubioną.

Nazywa się szczęśliwe dziecko. Leży się na plecach i trzyma się za kostki, jak się chce, to można wierzgać nogami.

I tak sobie leżałam. Wściekła dorosła i szczęśliwe dziecko.

Pewnego dnia Espen wrócił wcześniej z pracy i zapytał, co będzie na obiad.

– Nie wiem – odpowiedziałam.

– Chcesz iść do sklepu i kupić sos do makaronu albo coś w tym stylu? – spytał.

– Chcę się rozwieść – odparłam.

Wynajęłam mieszkanie w tej samej dzielnicy, w której mieszka Espen. Nico przyszła do mnie z wizytą i pomogła mi się rozpakować. Przyniosła słoneczniki, a gdy się okazało, że nie mam wazonu, wstawiła je do dzbanka na wodę.

– Po co komu wazon, jak ma się dzbanek na wodę – powiedziała, podziwiając stojący na parapecie bukiet.

Nie miałam jeszcze stołu, ale ona powiedziała, że na pewno znajdziemy taki, który ktoś chce oddać za darmo. Zaczęła od razu szukać, a ja wypakowywałam w tym czasie szklanki i talerze, wstawiałam je do pustych kuchennych szafek.

Jest tu dla mnie miejsce. Będę spać w salonie, Elise dostanie sypialnię. Mam mały balkon, na którym mogę siedzieć wieczorami, wynoszę sobie krzesło z kuchni i patrzę na miasto i dzielnicę. Na balkonie nie ma miejsca dla więcej niż jednej osoby, ale z reguły jestem na nim jedyną osobą.

– Zobacz – odezwała się Nico, pokazując mi komórkę. Ktoś wystawił na Finn.no stół kuchenny. Za darmo. – To tylko trzysta metrów stąd. Idziemy po niego.

– Teraz?

– A masz coś lepszego do roboty? – zapytała Nico, pisząc wiadomość do właściciela stołu. Odpowiedź przyszła od razu: „Kto pierwszy, ten lepszy, dzwonić domofonem pod nazwisko Johnsrud”.

– No chodź – powiedziała i już zaczęła wkładać buty.

– Ale się rządysz – stwierdziłam, idąc w jej ślady.

Wzięłam klucze i komórkę, wyszłam bez kurtki. Było ciepło, zupełnie jakby lato nadal wisiało nad miastem, mimo że w rzeczywistości minęło kilka tygodni temu.

– To tutaj – rzuciła Nico, wskazując wejście do klatki schodowej kilkaset metrów od mojego mieszkania. Zadzwoiła, a gdy drzwi się otworzyły, przytrzymała je dla mnie. – No już – powiedziała, a ja usłuchałam i weszłam do środka.

Zaniosłyśmy stół do mojego mieszkania, musiałyśmy zrobić po drodze kilka przystanków, a gdy w końcu byłyśmy na miejscu, usiadłyśmy i popatrzyłyśmy na naszą zdobycz. Stół był wysłużony, porysowany i domagał się pociągnięcia farbą, ale uznałyśmy, że jest piękny. Dokładnie takiej wielkości jak trzeba. I stabilny. Nienawidzę stołów, które się chwieją.

– Będzie ci tu dobrze – powiedziała Nico, gładząc blat.

– Mam nadzieję – odrzekłam.

– Można przy nim siedzieć i jeść śniadanie czy obiad, czy czego się tam potrzebuje.

– Myślisz, że dobrze zrobiłam? – spytałam, a Nico zmierzyła mnie wzrokiem, wzruszyła ramionami.

– A masz poczucie, że tak? – odpowiedziała pytaniem.

– Skąd się wie takie rzeczy? Ja w sumie przez połowę czasu nie mam nawet pojęcia, co robię.

– Nikt nie ma pojęcia, co robi. Ale tak czy inaczej trzeba dalej robić to, co się zaczęło.

– Tak to wygląda?

– Właśnie tak – rzuciła Nico i klasnęła w ręce. – To co jeszcze mamy dziś do ogarnięcia?

Wyobrażałam sobie, że bycie dorosłą będzie łatwiejsze. Gdy razem z moją klasą zobaczyłam *Fucking Åmål*, miałam siedemnaście lat. Ojciec Agnes wygłasza w jednej ze scen tego filmu taką jakby pocieszającą przemowę, że za dwadzieścia pięć lat wszystko się zmieni. A ona płacze i mówi: „Tato, ale ja chcę być szczęśliwa teraz, nie za dwadzieścia pięć lat”. Pamiętam, że chodziło o to, byśmy się zgodzili z Agnes, ale ja odnalazłam pociechę w słowach jej ojca. Pomyślałam sobie, że mogę poczekać, mogę wszystko znieść, mocno się przytrzymać, a w końcu przyjdzie moja kolej na to, by być szczęśliwą. Tyle tylko że życie to maraton bez wiwatujących tłumów i nagród, jedyna linia mety to śmierć, a do tego czasu wszystko jest walką z czasem, zaś czas, jak powszechnie wiadomo, nie robi sobie przerw. Bycie dorosłą jest tak samo przejebane jak bycie nastolatką, tylko ma się więcej rachunków do zapłacenia. Wstawanie rano wcale nie jest łatwiejsze, po prostu trzeba to robić, bo musimy iść do pracy. Z czasem nie jest łatwiej, robi się tylko jeszcze więcej wszystkiego.

W tym momencie Nico z pewnością by mi przerwała, mówiąc, że wcale nie muszę biec maratonu, że w każdej chwili można sobie zrobić przerwę, usiąść na trawie i wypić szklanekę wody, odetchnąć, może nawet pobiec inną drogą niż ta, która została nam wytyczona, albo w ogóle mieć wszystko w dupie i wytyczyć własną drogę. Ale na takie myślenie pozwalają sobie egoiści bez poczucia odpowiedzialności, tymczasem ja mam ludzi, którzy na mnie czekają na mojej trasie, ludzi spodziewających się, że wybiegnę z następnego zakrętu, ludzi, którzy sobie beze mnie nie poradzą.

Wścieka mnie też to porównywanie życia do maratonu, rany boskie, nie jest to szczególnie oryginalna myśl, ale nic innego mi w tej chwili nie przychodzi do głowy.

Lecz nagle uderza mnie, że choć Nico żyje na swoich zasadach, które wcale nie są zasadami, tylko całą masą wyjątków, to przecież i tak cały czas przy mnie jest. Pomaga mi wieszać zdjęcia, przynosi stół, gotuje makaron w czasie, gdy ja ścielę łóżka, wysyła mi więcej idiotycznych filmików z jogą, którą powinnam jej zdaniem ćwiczyć. Nieważne, ile sobie robi przerw albo jak często zbacza z drogi, jest zawsze przy mnie.

Istnieje różnica pomiędzy zagładą Ziemi a twoją własną.

Jeśli Ziemia zostanie zniszczona, to zniknie wszystko, dla wszystkich. Taka katastrofa jest tak samo niesprawiedliwa albo sprawiedliwa dla wszystkich, którzy żyją, nieważne, czy mieli dobre życie, długie życie, krótkie życie, bolesne życie, nieistotne życie, wielkie życie, sprawiedliwe życie, szczęśliwe życie, smutne życie, wściekłe życie. Jeśli Ziemia zostanie zniszczona i wszystko zniknie, z hukiem, powiewem, rumorem albo ogłuszającą ciszą, jeśli nagle próżnia wessie wszystko, co kiedykolwiek istniało, z powrotem ku nicości, to nie będzie już nikogo i niczego, co pamiętałoby przeszłość.

Jeżeli natomiast ja się skończę albo zniknę, z westchnieniem, łknięciem, krzykiem albo słowem kurwaaaaa na ustach, pozostawię po sobie świat beze mnie. Dla znacznej, przeważającej większości ludzi nie będzie to żadna wielka różnica. Ktoś inny dostanie moją pracę, sprzątnie moje biurko, odlepi od ekranu komputera żółte karteczki, na których wynotowałam sobie skróty klawiszowe kopiuj wklej, kilka formułek do Excela, odczepi też stamtąd zdjęcie Elise i Espena uśmiechających się do obiektywu, mają na nim rozczochrane poranne fryzury i wydają się szczęśliwi, wyglądają jak rodzina, której częścią dobrze jest być. Osoba, która obejmie po mnie moje stanowisko, zostanie wdrożona we wszystkie procedury i nieco je zmodyfikuje, znajdzie własne rozwiązania, które będą działać, może i lepsze od tych wypracowanych przeze mnie. Sprzątną moje biurko, a ja zniknę razem z ostatnią plamą po kawie, którą zdążę po sobie zostawić.

Nikomu nie będzie mnie brakować w porannym autobusie ani mojej ulubionej kawiarni, nikt też nie będzie się z mojego zniknięcia

cieszył. Ludzie nie zastanowią się nawet nad moją śmiercią, może sobie raczej pomyślą, że się przeprowadziłam, zmieniłam pracę albo odstawiłam kawę, o ile w ogóle przyjdzie im do głowy o mnie pomyśleć.

Nikomu nie będzie mnie brakować w sklepie ani na poczcie, nikomu nie będzie mnie brakować w parku i w sąsiedztwie, na ławce, na której przesiaduję wiosną, nikomu nie będzie mnie brakować w studiu jogi, do którego nie zdążyłam zacząć chodzić, mimo że zawsze przynosiłam do domu ich broszury reklamowe. Nie będzie mnie brakować nikomu poza Espenem i Elise. Elise zatęskni za mną, dlatego że jestem jej matką, a Espen – bo zmarnował na mnie tyle lat. Bo nigdy się nie zapomina o tym, co się zmarnowało.

Chcę żyć życiem, które nie jest zmarnowane.

Chcę żyć życiem, w którym moje zniknięcie coś by znaczyło.

Chcę żyć życiem, w którym byłabym za coś pamiętana.

Chcę żyć takim życiem, którego samej by mi brakowało, gdybym odeszła.

Kiedyś było tak, że gdybym się nie obudziła kolejnego ranka, nie miałoby to właściwie żadnego znaczenia.

Ale nie chcę, żeby tak było.

NIE CHCĘ.

CHCĘ BYĆ TUTAJ.

Chcę zacząć od nowa. Robić wszystko od nowa, raz za razem i jeszcze raz. Chcę dostać nową szansę. Chcę się dowiedzieć, kim jestem, a potem być tą osobą, tak długo, jak mogę. Bo wieczność nie istnieje, ale dajcie mi ten mały skrawek wieczności, który dostajemy jako ludzie. Dajcie mi go i nie odbierajcie dopóty, dopóki sobie nie pomyślę, że chcę go stracić.

Jest drugi weekend października, mój weekend z Elise, i siedzimy na balkonowej podłodze. Nie wieje nawet najłżejszy wiatr i jest ciepło, ale w powietrzu czuć jesień. Mam kakao w termosie i napełniam kubki, a Elise pyta, czy nie potrzebujemy przypadkiem teleskopu. Mówię jej, że zobaczymy co trzeba bez niego. Ona zaś dopytuje, czy mimo wszystko nie mogłaby dostać teleskopu, może na Gwiazdkę, a ja nie odpowiadam, choć przecież już to omówiłam z Espenem. Uzgodniliśmy to.

Siedzimy przytulone do siebie z kocem na ramionach i patrzymy w górę. Widzimy Księżyc i gwiazdy, najpierw tylko kilka, potem całe niebo, a potem, bardzo daleko, dostrzegamy rozżarzoną kulę z gazowym ogonem, krążącą po orbicie wokół Ziemi.

– Tam – mówię, a Elise wstrzymuje oddech.

Kometa powróciła.

Przytulam policzek do głowy Elise i nagle dostrzegam kątem oka mamę.

Mamę z tamtego wieczora, gdy stałyśmy przed blokiem i patrzyłyśmy na tę samą kometę. Ma na sobie białą czapkę, jej włosy są zmierzwione i miękkie. Odwracam się do niej, a ona się uśmiecha, nie odrywając wzroku od nieba. Mam lat dziesięć i mam lat czterdzieści trzy.

Pamiętam, że gdy pierwszy raz zobaczyłam tę kometę, bardzo się wystraszyłam. Wyobrażałam sobie, że zmieni kurs i w nas uderzy. Że całe moje życie, świat, który znam, że wszystko, co czułam, co kiedykolwiek widziałam i czego doświadczyłam, zniknie, przestanie istnieć, zostanie zdmuchnięte w gigantycznym zderzeniu. Miałam

koszmary i nie mogłam spać, byłam za duża, żeby pójść do mamy i taty, i za mała, żeby zasnąć przez nikogo niepokieszona.

Jednego z takich wieczorów mama zajrzała do mnie i zobaczyła, że nie śpię.

– Co się stało? – spytała cicho.

Weszła i usiadła na skraju łóżka.

– Kometa – powiedziałam.

Mama najpierw zerknęła na mnie, a potem wyjrzała przez okno, za którym były bloki, jej spojrzenie powędrowało ponad dachami ku wielkiemu, otwartemu niebu.

– Nie musisz się bać – odrzekła.

– Ale się boję.

Mama przykryła mnie kołdrą i przytuliła się do mnie w moim wąskim łóżku.

Najpierw leżałyśmy jakiś czas w milczeniu, a potem mama zaczęła ostrożnie nucić piosenkę, ja zaś zasnęłam, zanim się zdążyłam obejrzeć. Nie bałam się, że mama zniknie. Przed jej odejściem nigdy o tym nawet nie myślałam. Podobnie jak wielu innych ludzi, najbardziej obawiałam się tego, co nigdy nie nastąpiło.

A teraz znów się ku niej odwracam, na moim balkonie, i słyszę to samo ostrożne nucenie. Mrugam, a ona znika. Nucenie trwa, ale to już nie głos mamy, teraz nuci Elise. Tę samą piosenkę, którą kiedyś śpiewała mi mama, śpiewam teraz swojej córce. A ona unosi rękę i celuje w kometę kciukiem, zamyka jedno okno i zakrywa ją opuszką palca. Patrzę na Elise, a potem unoszę wzrok ku komecie.

Siedzimy tu sobie, na małym balkonie, pod wiecznym niebem pełnym wściekłych komet, które gnają przed siebie, nie zatrzymując się dopóty, dopóki nie uderzą w coś z całą mocą, niszcząc w jednej chwili to wszystko i siebie same. Najpierw eksplozja, potem już nic.

Ale to nie do końca prawda. Bo tam, gdzie coś ginie, powstaje coś innego. Tam, gdzie wszystko zostaje zniszczone, coś może się zacząć od nowa.

Elise otwiera i zamyka oko, celuje palcem i patrzy na kometę daleko w górze.

Teraz tu jest. Teraz znika. Teraz tu jest.

Wróciła.

Zupełnie jak ja.

SPIS TREŚCI:

Strona tytułowa

Najpierw

Wszystkie moje niedosze załamania

Czas wstać

Co by powiedział Espen

My pojechałyśmy, a oni wracają

Co się dzieje na plaży, gdy mnie nie ma

Co się dzieje w domu, gdy mnie nie ma

Co się dzieje po wyjściu Runy

Co robi beze mnie Elise

Wszystko

Brittsommar



Kontakt:

artrage@artrage.pl

Z prozy współczesnej w ArtRage do tej pory ukazały się:

- Verena Kessler *Duchy z miasteczka Demmin*
w tłumaczeniu Małgorzaty Gralińskiej
- Victoria Kielland *Moi mężczyźni*
w tłumaczeniu Karoliny Drozdowskiej
- Nona Fernández *Strefa mroku*
w tłumaczeniu Agaty Ostrowskiej
- Aleksandra Pakieła *Oto ciało moje*
- Margaryta Jakowenko *Przemieszczenie*
w tłumaczeniu Agaty Ostrowskiej
- Charles Yu *Ucieczka z Chinatown*
w tłumaczeniu Agi Zano
- Andrea Abreu *Ośli brzuch*
w tłumaczeniu Agaty Ostrowskiej
- Linn Strømsborg *Nigdy, nigdy, nigdy*
w tłumaczeniu Karoliny Drozdowskiej
- Mohamed Mbougar Sarr *Bractwo*
w tłumaczeniu Jacka Giszczaka

- Claudia Salazar Jiménez *Krew o świcie*
w tłumaczeniu Tomasza Pindla
- Jessica Au *Mógłby spaść śnieg*
w tłumaczeniu Agi Zano
- Kjersti Anfinnsen *Chwile wieczności*
w tłumaczeniu Karoliny Drozdowskiej
- Jonas Eika *Po słońcu*
w tłumaczeniu Macieja Bobuli
- Aleksandra Tarnowska *Wniebogłos*
- Nick Cave *Gdy oślica ujrzała anioła*
w tłumaczeniu Jerzego Łozińskiego
- Sebastian Barry *Tysiąc księżyców*
w tłumaczeniu Krzysztofa Cieślika
- Adda Djørup *Kot Bułhakowa*
w tłumaczeniu Zuzanny Zywert
- Michał Michalski *Gruby*

Tytuł oryginału: *Faen, faen, faen*

Redaktor inicjujący: Michał Michalski

Redaktor prowadzący: Krzysztof Cieślik

Projekt okładki: Ula Pągowska

Projekt makiety: Mimi Wasilewska

Redakcja: Maria Wirchanowska

Korekta: Michał Trusewicz, Emilia Rydzewska-Smaza

Koordinacja produkcji: Szczepan Kulpa

© Faen, faen, faen by Linn Strømsborg Originally published by Flamme Forlag
2023

© Copyright for the polish translation by Karolina Drozdowska, 2023

© Polish edition by ArtRage, 2023

Published by agreement with Copenhagen Literary Agency ApS, Copenhagen c/o
Book/Lab, Warsaw

Wydanie pierwsze, Warszawa 2023

ISBN 978-83-67515-49-8



Wydawnictwo ArtRage

wydawnictwo.artrage.pl

Opracowanie ebooka: Katarzyna Rek